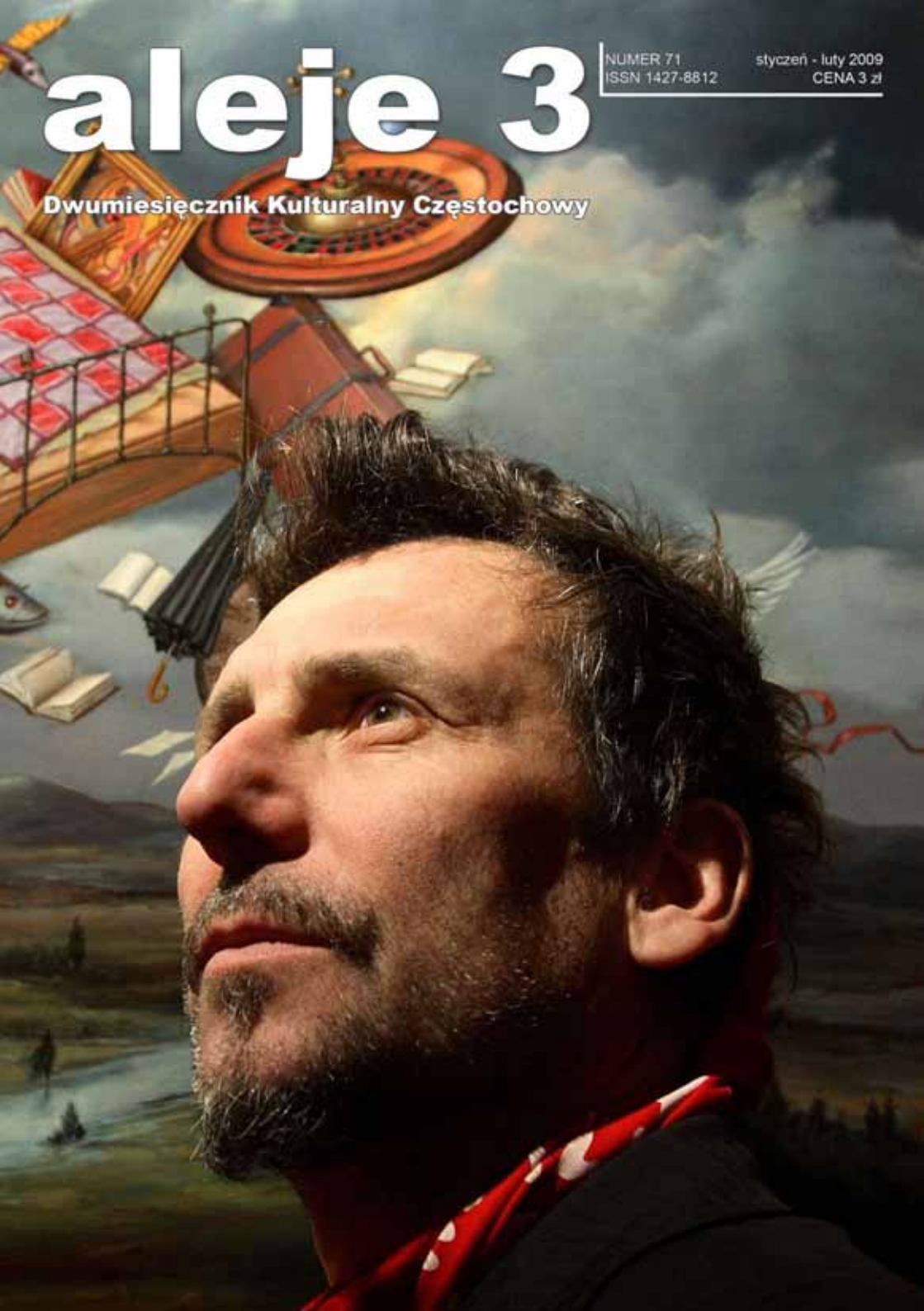


# aleje 3

NUMER 71  
ISSN 1427-8812

styczeń - luty 2009  
CENA 3 zł

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy





# aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane  
przez Urząd Miasta Częstochowy

## Wydawca

Biblioteka Publiczna  
im. dr. Wł. Biegańskiego  
w Częstochowie  
Al. Najświętszej Maryi Panny 22  
42-200 Częstochowa  
Tel. 034/ 360-56-28  
[www.biblioteka.czyst.pl](http://www.biblioteka.czyst.pl)

## Redakcja

Aleje NMP 22  
42-200 Częstochowa  
Tel. 034/ 360-56-28  
[aleje3@op.pl](mailto:aleje3@op.pl)

Teksty niezamówione nie będą zwracane.  
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania  
i skracania przysyłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze  
odzwierciedlają poglądy Redakcji

## Red. Naczelny

Marian P. Rawinis  
Tel. 0505-666-486  
[mprawinis@poczta.onet.pl](mailto:mprawinis@poczta.onet.pl)

## Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

## Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie  
[www.sowadruk.pl](http://www.sowadruk.pl)  
tel. (0-22) 431-81-40

Sejm ogłosił bieżący rok Rokiem Juliusza Słowackiego, w związku z rocznicą jego urodzin (1809) i rocznicą śmierci (1849). W uzasadnieniu napisano, że to wielki artysta, któremu zawdzięczamy przetrwanie, pod obcymi zaborami, mowy polskiej i narodu.

W dawnej szkolnej czytance pewien tzw. zwykły człowiek tak wspominał spotkanie ze Słowackim: „Patrzę, stoi na ulicy mały człowieczek i klnie na czym świat stoi. Bo stancji nie ma...” Wielki polski poeta, patriota, mistrz słowa, wspaniały liryk, dramatopisarz, wieszcz narodowy, którego portrety wisiały w każdej pracowni polonistycznej we wszystkich szkołach, którego imieniem nazywano szkoły i ulice, przeklinał?! I to strasznie! On, subtelny artysta, przewodnik duchowy? W późniejszych latach nauki okazywało się, że artyści zwykle wyróżniali się z szarego tłumu, niekoniecznie na korzyść. Schiller podniecał się zapachem zgnitych jabłek, Mickiewicz dużo palił i rzadko się mył, Wiktor Hugo, choć milioner, był strasznie skąpy. Cervantes nie miał ręki, bo ją stracił w bitwie pod Lepanto, Homer był ponoć ślepy, Leśmian kulawy. Poeci, pisarze, malarze, później filmowcy okazywali się pijakami i narkomanami. Witkacy zażywał i jeszcze się tym chwalił. Farncois Villon był złodziejem i zabójcą, podobnie jak malarz Caravaggio, złodziejstwem parał się Karol May. Saffona była lesbijką, Rimbaud gejem, podobnie jak Iwaszkiewicz i Rock Hudson. Prawie każdy lubił wypić. Wielu artystów skończyło ze swoim życiem w sposób samobójczy, jak Jack London czy aktorka Romy Schneider. Z przeklinania znani są Kazimierz Kutz i Kazimierz Dejmek.

Zawiłości artystycznego wnętrza tłumaczymy nadwrażliwością, trudnościami odnalezienia się w świecie, równie brutalnym kiedyś, co i teraz. Artystom zwykle nie pamiętamy ułomności ciała i ducha, ponieważ dają nam przeżycia wyższego rzędu. Tylko w dzieciństwie naiwnie wierzymy, że piękna zawartość występuje w pięknym opakowaniu. Jak mylnie bywają etykiety zastępcze świadczy choćby przypadek Daniela Olbrychskiego, którego reżyser Jerzy Hoffman uparł się zrobić Kmicicem. Oburzenie ogarnęło całą Polskę, nadzwyczaj głośno grała Wielka Orkiestra Społecznego Sprzeciwu. Błady rudzielec, zwłaszcza po roli Azji, gdzie był czarnowłosy i zły, miałby grać bohatera? Dziś oczywiście każdy wie, że Kmicic, to tylko Olbrychski. Myliliśmy się wszyscy, widząc tylko opakowanie. Powalił nas na podłogę Olbrychski swoją sztuką aktorską a Hoffman swoją reżyserią. My, znawcy i odbiorcy sztuki, nie mieliśmy racji. Bo kultura wymyka się prostym definicjom, jest nieodgadniona i nieprzewidywalna. Może dlatego ciągle w niej na nowo uczestniczymy - jeszcze nas zaskoczy, jeszcze zaczaruje, jeszcze wstrząśnie i oneśmieli. Jest wielka i niewyczerpana jak morze. To jedyne dobre, którego, choć czerpiemy z niego od tysiącleci, nie ubywa, jak ropy naftowej, węgla, wody, powietrza. Przeciwnie, ono się stale pomnaża, rozrasta się, multiplikuje. A nikt nie wie, jak to się dzieje, że mała (statystycznie) grupa ludzi wytwarza tak wiele dóbr potrzebnych wszystkim, największe bogactwo świata. Czujmy więc Słowackiego i jemu podobnych – to za ich sprawą my, zwykli zjadacze chleba, czasami przemieniamy się w aniołów.

Marian Piotr Rawinis

## ILUZJONISTA

**Tomek Sętowski**  
w rozmowie z **Dominiką Radkowską**

*Podobno pierwszy obraz abstrakcyjny stworzyłeś w wieku trzech lat. Co było między tą chwilą, a studiami na WSP?*

W szkole podstawowej brałem udział w szkolnych konkursach plastycznych. To były lata siedemdziesiąte. Zdobyłem nagrodę w konkursie na plakat do filmu radzieckiego. Coś tam malowałem, rysowałem, ale nie interesowałem się wtedy specjalnie sztukami plastycznymi, lecz sportem.

*Było bazgranie fantastycznych motywów po zeszytach?*

Był taki etap. Wielu to robiło dla wypełnienia czasu na nudnych lekcjach. Niestety z tamtych rysunków szkolnych nic się nie zachowało.

*Co malowałeś na studiach? Martwe natury, akty, portrety, czy już fantastyczne wizje?*

Na studiach, jak to na studiach – marta natura, studium postaci – nieciekawo rzeczy. Oczywiście w domu poświęcałem się malowaniu swojego surrealizmu – bo wtedy byłem zafascynowany tym kierunkiem. Dużo dały mi zajęcia z grafiki u Ryszarda Osadczego i Grzegorza Banaszkiwicza. Dyplom z malarstwa robiłem u profesora Maszkowskiego, który był ciekawą postacią. On po-

zwał mi w dużej mierze się rozwinąć i malować po swojemu.

*Pokazywałeś wykładowcom te prace malowane „po swojemu”? Jaka była ich reakcja?*

Nie było raczej możliwości pokazywania się, bo byłem studentem, a studenci nie mieli uprawnień do tego. Pod koniec studiów wyszedłem z tym, co robiłem „na ulicę”. W Sopocie na „Monciaku” wystawiłem swoje prace – i tam zacząłem odnosić pierwsze sukcesy komercyjne (*śmiech*). Tam połknąłem bakcylię sprzedaży obrazów i życia z malarstwa.

*Realizm magiczny, surrealizm – tak Twoją twórczość określa krytyka. Zgadzasz się z tymi określeniami, czy używasz własnych?*

Bardzo mi się podoba określenie „realizm magiczny”, ponieważ jest to połączenie realizmu z magią – i takie jest malarstwo – trochę magiczne, trochę realistyczne, najprościej mówiąc. A co się kryje pod realizmem i pod magią, to jest już szerszy temat do rozważań. Określenie mojego malarstwa jako „realizm magiczny”, „realizm fantastyczny” cieszy mnie również dlatego, że przez długi czas było ono określane jako

surrealizm. A surrealizm ma z nim niewiele wspólnego poza tym, że prace powstają z wyobraźni, tak jak u surrealistów, którzy jednak mieli inne przesłanie w sztuce.

*Twój wszechświat jest baśnią dla dorosłych. W dzieciństwie lubiłeś baśnie?*



Fot. Piotr Dlubak

Nie za bardzo, z tego co sobie przypominam. Jedynie baśnie, na których się wychowałem, to baśnie Andersena. Po latach wróciłem do tego tematu, będąc zaproszonym do Danii na wystawę z okazji rocznicy urodzin Andersena.

*Ilustrowałeś baśnie dla dzieci?*

Często moje obrazy były wykorzystywane jako ilustracja do bajek, ale przeważnie w ten sposób, że do konkretnego tekstu były dopasowywane gotowe obrazy.

Jedyną sytuacją, gdzie ilustrowałem były bajki mojej bratowej Małgorzaty Sętowskiej – „Bajki z szufflady”. Zdarzało mi się też projektować plakaty, które traktowały o jakimś wydarzeniu muzycznym – Festiwal Chopinowski, Legnica Cantat – Festiwal Chórów w Legnicy. Było parę takich realizacji.

*Co Cię łączy z teatrem?*

Szczerze mówiąc – nic mnie nie łączy. Kiedyś była propozycja składana przez teatr, żebym zrobił scenografię, nawet próbowałem się do niej przymierzyć, ale nie zrealizowałem tych pomysłów i nie podjąłem się tego.

*Wydaje mi się, że Twój sposób kreowania siebie i swojego otoczenia, stroju na uroczyste okazje, aranżowania w galerii w trójwymiarze zdarzeń z obrazów jest bardzo bliski teatrowi.*

Jest bliski z tego względu, że malarstwo jest tworzeniem pewnej sztucznej scenerii w obrazie, która ma naśladować rzeczywistość i teatr tak samo – tworzona jest scenografia, mająca symulować jakiś wy-cinek rzeczywistości i dlatego te związki są bliskie. Cały ten sztafaż teatralny w moim malarstwie jest spowodowany tym, że tworzę pewne plany, sytuacje, które mają na celu udawanie przestrzeni, odległości. Oczywiście tworzę teatr na swój sposób w swo-



Fot. Piotr Dlubak

jej galerii – Muzeum Wyobraźni – aranżując pewne sytuacje, które nawiązują do mojego malarstwa, do świata, który wymyślam po to, żeby widz przychodzący tutaj mógł być wprowadzony w świat mojego malarstwa, poczuć się bohaterem moich opowieści. Ta teatralność włącznie z twoimi maskami tworzy ten czarowny świat i fantastyczny pejzaż.

*Ty nawet sam przenikasz się z tym, co na obrazie i tym, co z niego wyszło. Kreujesz również siebie. Twoje stroje na uroczyste okazje są tego wyrazem. Kto je dla Ciebie projektuje? Na przykład marynarkę, w której wystąpiłeś podczas wręczenia Nagród Prezydenta Częstochowy?*

To był mój pomysł. Ta marynarka była odzwierciedleniem tego, kim jest twórca. Jedna jej część była luksusowa, a druga kloszardzka. Ta granica dla twórcy jest bardzo cienka, często się na niej balansuje. Ja nie tylko jestem w rzeczywistości ucharakteryzowany, ale także odwrotnie: zaczynam się malować, ha, ha, to znaczy umieszczać się na obrazach.

*Ubierasz postaci w stroje z różnych epok. Zwłaszcza nakrycia głowy z ogromną dozą fantazji są fascynującymi wariacjami na temat tych znanych sprzed wieków. Interesujesz się modą, architekturą?*

# PLASTYKA

Bardzo mocno się nimi interesuję. Szczególnie modą – tą fantastyczną, awangardową, która wychodzi poza modę użytkową. Czasem podsusza mi ona pomysły, a czasem wydaje mi się, że ja miałbym dużo pomysłów do zaproponowania w dziedzinie mody, bo sam tworzę na obrazach kompozycje, które mają coś wspólnego z wizjami wielkich dyktatorów mody. Klatki na głowach i podobne rzeczy, które ja wymyślam w obrazach – oczywiście w obrazie jest to łatwe, bo można tam wszystko umieścić i wszystko namalować. Tak samo z architekturą – ona rządzi się pewnymi kanonami, których nie można przekraczać – natomiast ja sobie mogę pozwolić w obrazie na dowolność potraktowania architektury. Sposób w jaki maluję architekturę wynika też z wiedzy, bo żongluję formami architektonicznymi z różnych epok i z różnych okresów, cytując je w dowolny sposób, nie zastanawiając się nad tym, jakie elementy z jakiego okresu mieszam. To działanie typowo postmodernistyczne, które pozwala na taką swobodę.

*Nakrycia głowy, w które ubierasz postacie, przybierają niesamowite formy. Budujesz je na bazie nie tylko czepców, kornetów, tricornów, itd., czyli form skądinąd znanych, ale stawiasz na głowach budowle, statki, poduchy. Wkładasz w nie mnóstwo inwencji. Nie szczędzisz ozdoby prawie żadnej głowie...*

Zacząłem się od tego, że nie lubiłem malować włosów. Sprawiało mi to trudność, wydawało mi się dość naiwne traktowanie głowy w sposób realistyczny. Chciałem tego uniknąć. Dlatego pojawiły się nakrycia głowy, które pozwoliły mi odrealnić postać

i wizerunek twarzy. Zacząłem tę twarz opakowywać różnymi nakryciami głowy, maskami, przyozdabiać makijażami, żeby uniknąć dosłowności portretowej. Nawet jeżeli malowałem postać z fotografii, czy z natury – starałem się ją maksymalnie odrealnić tak, by w niczym nie przypominała modela. Te zdobienia dopasowywałem do charakteru postaci, sytuacji, do fabuły obrazu.

*Jest jakaś postać, która do Ciebie wraca i którą faworyzujesz w malarstwie?*

Mam kilku ulubionych bohaterów, którzy bardzo często się pojawiają. Szukając tematu do obrazu sięgałem po postacie najbardziej zwariowane, które mogłyby dać mi jakiś pomysł. Taką postacią był baron Münchhausen – postać bardzo pokrewna Don Kichotowi, który przez swoje imaginacje tworzył niesamowite historie. Wątków zaczerpniętych od tych dwóch postaci parę się w moim malowaniu przewinęło.

*W Twoich obrazach określone motywy pojawiają się częstokroć. Spróbowałam wyszukać w obrazach hasła, z których można by zbudować słownik symboli Tomka Sętowskiego. To tylko niektóre: zamki, pałace, morskie fale, ryby, muszle, ptaki, łóżko, schody, księżyc, statek, maska, zegar, skrzydła, obłoki, szachownica, pasy, kobieta i mężczyzna, kości do gry, korony, kryzy, gramofon, balon, elementy architektoniczne, skrzypce i wiele, wiele innych.*

Żongluję rekwizytami ze swojego malarstwa. Są ich tysiące. Z tych, które wymieniałas: na przykład schody - są często powtarzanym przeze mnie ele-



Fot. Piotr Dlubak

mentem służącym zbudowaniu kompozycji, bo nie zawsze myślę treścią, lecz czasem chodzi o formę obrazu, która jest uzupełniana przez rekwizyty, budujące kompozycję. Tak jak się buduje kompozycje za pomocą rekwizytów martwej natury – podobnie wykorzystuję schody, architekturę, wodę, trąbki, ryby itd. Z tych elementów buduję kompozycje, ale ta cała rekwizytornia jest podporządkowana jakiemuś głównemu motywowi nadającemu obrazowi sens. Oczywiście zdarza się, że się powielam – to jest nieuniknione w przypadku malarstwa figuratywnego, że twórca sięga kilkakrotnie po te same rekwizyty. Najprościej mówiąc – jeśli nie wiem co namalować, to maluję to, co umiem. (*śmiech*)

*Stosujesz jakiś system znaków, symboli dla uzyskania pożądanego nastroju, nadania znaczeń czy też w większej mierze jest to po prostu fantazja i dbałość bardziej o stronę wizualną dzieła?*

Staram się te dwie rzeczy wyważyć. Strona estetyczna jest dla mnie bardzo ważna i zdarza się, że obraz, który już powstał, maluję po raz kolejny – ten sam temat, te same rekwizyty – i doprowadzam go do coraz większej perfekcji. Mimo tego, że jest on w pewnym sensie powielony, staje się obrazem lepszym, doskonalszym przez to, że można go upiększyć. Oczywiście – o ile strona estetyczna jest bardzo ważna, o tyle obraz zaczyna się od pomysłu, czyli od tytułu. Kiedy mam tytuł, zaczynam go rozbudowywać. A żeby mnie tytuł interesował, to musi mnie w nim pociągać jakaś historia. „Pojedynek iluzjonistów” na przykład – jest to motyw bardzo częsty w moich obrazach. To hasło jest tak dla mnie ciekawe, że powstało wiele obrazów na ten temat.

*Określasz sobie z góry scenariusz, który realizujesz, czy pozwalasz procesowi twórczemu przetwarzać Twoje wyobrażenie o efekcie końcowym pracy?*

Scenariusz to dobre słowo. Do każdego obrazu mam precyzyjny scenariusz, który opracowuję obśadzając postacie w określonych rolach, układam to. Ale czasem idę na zupełny spontan. Mam wizję, którą chce szybko przelać na płótno. Mimo iż jest to szkic – jest to obraz skończony, który traktuję jako samoistne, bardziej ekspresyjne dzieło. Ten cykl prac nazywam „między rysunkiem a obrazem”.

*Kiedyś opisałeś na łamach „Alej 3” taki proces powstawania obrazu.*

Tak, zamieściłem dwa opowiadania. Jeden tekst opowiadał historię obrazu, którego kontynuacja przysniła mi się. To się zdarzyło w rzeczywistości. Były to moje zapiski w klimacie niesamowitej grozy, coś jak u Edgara Alana Poe albo Franza Kafki. A drugi był opisem moich doświadczeń kasynowych na zasadzie prozy sensacyjnej.

*Jesteś postacią będącą w centrum zainteresowania – często malujesz publicznie, w pracowni otacza Cię zespół ludzi, cechuje Cię duży dynamizm. Czy to zamieszanie nie przeszkadza Ci w pracy? Jak odpoczywasz?*

Malowanie wśród ludzi nie peszy mnie, przyzwyczaiłem się do tego na studiach, poza tym jestem tak pewny swojego warsztatu, i tego co potrafię, że nie



Fot. Piotr Dlubak

# PLASTYKA

wstydzę się, jak ktoś mi patrzy na ręce. Jednocześnie obecność osób za plecami jest czynnikiem stymulującym, zmusza do szybszego działania. Choć, kiedy nie jestem rozmalowany, trochę mnie to denerwuje. Żeby się wyciszyć, pracuję w domu, a latem wyjeżdżam na wakacje do Krzeczowa. Moje wyjazdy artystyczne nie sprzyjają odpoczynkowi, pobyt w Nowym Jorku czy Dubaju to też praca i wysiłek medialny. A w Krzeczowie spędzam czas z rodziną i odpoczywam.

*Twoja pracownia jest właściwie instytucją: oprócz Twojego miejsca pracy mieści Muzeum, salę koncertową, organizujesz imprezy artystyczne i edukacyjne.*

Prrowadzę u siebie pracownię graficzną, rzeźbiarską, malarzką, fotograficzną, jest sztab ludzi, którymi dyryguję. W Muzeum Wyobraźni skupiam wo-

kół siebie ludzi wrażliwych na ten rodzaj ekspresji, co chwilę odkrywam nowe talenty, dokształcam zainteresowanych tym rodzajem sztuki. Była też prowadzona pracownia jubilerska, w której projektowałem z Markiem Adamusińskim obiekty adekwatne do mojej stylistyki. Chętnie przy tej okazji odpowiem na pytanie o to, czy posługuję się asystentami. Ja się wcale tego nie wstydzę i powiem od siebie jak sytuacja wygląda. Czasem w kularach padają nieśmiało takie pytania albo podejrzenia, że sztab ludzi maluje za mnie obrazy. Tak, posługuję się asystentami. Moim zaprzyjawnionym malarzem jest Paweł Izydorczyk, uczeń Mariana Michalika. To jest osoba, z którą rozumiemy się bardzo dobrze na płaszczyźnie malarzkiej. Współpracujemy na zasadzie dwóch muzyków, którzy świetnie wiedzą, o co im chodzi. Ja



Fot. Piotr Dlubak



oczywiście jestem tym, który nadaje pomysł i szlif obrazowi, a Paweł zajmuje się etapem podmalówki. To jest ułatwienie i mocne wsparcie dla mnie, ponieważ Polska jest dla mnie zbyt mała, żeby się ograniczać tylko do malowania na nasz rynek. A do tego, żeby pokazywać obrazy szerzej, muszę ich malować więcej. Są dwa sposoby na malowanie większej ilości obrazów – albo je upraszczać, odchodząc od swojego stylu i śpieszyć się albo poszukać wsparcia, tak jak to czynili dawni mistrzowie. Malarze ukształtowani mogli pozwolić sobie na to finansowo, a także dlatego, że mogli podzielić się wiedzą i dostosować pomocnika do swoich potrzeb. Współcześnie podpatrzyłem takie sytuacje będąc w Stanach, że wzięci malarze szkolą odpowiednich ludzi, którzy im są pomocni.

*Jak powstają Twoje rzeźby?*

Na początku sam robiłem modele. Teraz nie mam już na to czasu. Robię tylko rysunki i nadzoruję prace nad wykonaniem modelu, swoją korektą nadaję charakter rzeźbie. Ostatnio rzeźbę trochę zaniedbałem, zacząłem się interesować filmem. Będę teraz realizował film. Wiele projektów czeka na realizację w rzeźbie, tak samo jak setki pomysłów na obrazy, ale wchnieniem jest robienie czegoś zupełnie innego.

*Co to za film?*

Będę realizował z moim bratankiem Janem Sętowskim film, który jest fantastyczną opowieścią o artyście na pograniczu jawy i snu. Nie chciałbym za wiele opowiadać, bo przestały być ciekawy. Będzie to film krótkometrażowy. Przenikać się w nim będą świat rzeczywisty i świat snu, który mnie zawsze mocno interesował i który wykorzystywałem wielokrotnie w swoich obrazach. Rzeczy, które trudne są do opowiedzenia w obrazie, będę się starał zrealizować w filmie. Chcę być bohaterem tego filmu i opowiedzieć w wersji filmowej o odczuciach artysty. O życiu na granicy luksusu i ubóstwa, te dwie antypody życia pociągają mnie. Układam scenariusz, a ponieważ nie mam doświadczenia w robieniu filmów, zaangażowałem mojego bratanka jako operatora i jako reżysera. Jan zrobił film o Częstochowie, który został nagrodzony i może coś nam razem z tego ciekawego wyjdzie. Jest w ostatniej klasie Liceum Plastycznego, bardzo się interesuje filmem i na te tematy dużo rozmawiamy.

*Paleta barw w Twoich obrazach kiedyś była ciemniejsza. Zmieniła się na żywszą – przez ewolucję czy przez rewolucję?*

Rozwijało się to w sposób naturalny, aczkolwiek uczciwiej byłoby powiedzieć, że rozjaśnienie palety zostało spowodowane względami czysto komercyjnymi. Kiedyś malowałem mroczne obrazy, bo stosowałem nadmierną ilość laserunków. Nakładałem kolejne warstwy przezroczystego laserunku, które powodowały, że obraz stawał się coraz ciemniejszy. Z tego mroku próbowałem wydobyć światła mające



zbudować iluminację świetlną. Ale nie miałem jeszcze wtedy takiej wiedzy o kolorze, więc uważałem, że to jest jedyny sposób na umiejętne ich wyeksponowanie. Ale wiele osób mówiło mi, że te obrazy są za ciemne, za mroczne, za ponure. Beksiński był wtedy moim mistrzem. Naklaniano mnie, żebym malował jaśniejsze obrazy. I wskutek tych głosów z zewnątrz zacząłem próbować. A potem się okazało, że wcale nie trzeba używać dużych kontrastów na zasadzie „ciemne – jasne”, żeby uzyskać świetlistość, że można sięgnąć po inne barwy. Ale to już wynikało z mojej indywidualnej edukacji plastycznej, która pozwoliła mi na takie eksperymenty i samo przez się doszło do tego, że obrazy stały się bardziej kolorowe, optymistyczne, czyste. Ta ewolucja trwała jakieś dwadzieścia lat, bo mówisz o obrazach z lat osiemdziesiątych, a teraz mamy już zaawansowany XXI wiek.

*Jerzy Duda-Gracza pisał przychylnie o Twojej sztuce. Jaki był między Wami kontakt? Czy spotkałeś się z nim jako uczeń?*

Nigdy nie mówiliśmy sobie na „ty”. Dwa razy byłem zaproszony na plener organizowany przez niego, ale akurat byłem za granicą. Kiedy mój współpracownik poprosił go o napisanie tekstu do mojej wystawy, chętnie się zgodził. Spotykaliśmy się jeszcze sporadycznie, obracając się w podobnym kręgu ludzi i spraw. To, co napisał, świadczy o tym, że był przychylnie ustosunkowany do mojej działalności, a wiedział też, że ja jestem entuzjastycznie nastawiony do tego, co on robił. Uważam go za jednego z trzech najważniejszych artystów mnie współczesnych. Teraz już dwóch z nich nie żyje – bardzo szanowałem Jerzego Dudę-Gracza i Zdzisława Beksińskiego - malarzy, których poznałem najwcześniej, bo mając piętnaście lat. Jako trzeciemu mogę wymienić Jacka Yerka, z którym mieliśmy dwie wspólne wystawy. Zetknięcie z ich obrazami dało mi bodziec – powiedziałbym nawet na zasadzie rywalizacji sportowej – że skoro oni takie rzeczy potrafia, ja też bym chciał. Myślę, że każdy malarz, mimo że się z tym nie obnosi, ma szacunek do tego, co jest w jego dziedzinie pokrewne. Myślę, że stosowaliśmy zbliżone techniki. Beksiński malował rzeczy niesamowite, skrajnie innym malarzem był Duda-Gracza, a Yerka to wielka precyzja. Bardzo cenię również Jacka Pałuchę, z którym przez lata dzieliłem pracownię, wyjątkowa osobowość i poczucie humoru.

*Jak trafiłeś na ARTEXPO – targi sztuki w Nowym Jorku? Miała z tym związek Galeria Stricoff Fine Art, z którą współpracowałeś?*

Pierwszy raz wystawiła mnie tam Stricoff, potem były nieporozumienia z galerią i zacząłem się wystawiać sam. Kiedy zacząłem „karierę solową” w Sta-

nach, zainteresowała się mną inna galeria – CFM, która okazała się galerią bardziej dynamiczną niż Stricoff. Znalazłem się na ścianie obok Salvadora Dali, Leonora Fini i paru innych znanych nazwisk.

*Masz za granicą stale ekspozycje albo cykliczne wystawy?*

Nie ograniczam się do współpracy z jedną galerią, choć wiele z nich namawia mnie do wyłączności. Przeniosłem się ostatnio z Nowego Jorku do Dubaju i tam zacząłem próbować swoich sił, bo tam jest dosyć spory rynek otwarty na sztukę. Jest trudno, bo oni jeszcze nie kumają tego, co się dzieje i snobują się, chcąc coś wystawić, pokazać. Traktują sztukę raczej jako służącą do wystroju wnętrza, niż jako wartość samą w sobie. Ale myślę, że to dobrze, że jestem tam rozpoznawalny, wiele osób również przyjezdnych interesuje się moją sztuką i jest to perspektywiczne zjawisko.

*Mógłbyś opowiedzieć historię, treść, jaką zawarłeś w którymś ważnym dla Ciebie obrazie?*

Najślinniejszym obrazem, który udało mi się namalować jest „Komnata rozkoszy ziemskich” – obraz inspirowany tryptykiem Hieronima Boscha „Ogród rozkoszy ziemskich” znajdującym się w Muzeum Prado w Madrycie. Mój obraz przez kolejne lata ewoluował – najpierw była to „Komnata miłosna”, potem przerodził się w „Komnatę rozkoszy ziemskich”. To jest obraz bardzo pojemny treściowo. Jest w nim zawarte siedem grzechów głównych. Występuje w nim kilkadziesiąt postaci fantastycznych i realistycznych. Wszystkie sceny odbywają się w jednym wnętrzu, a za jego oknami są różne pory, od świtu, poprzez zmierzch, do nocy, co podkreśla inny wymiar czasowy miejsca akcji. Ja też jestem bohaterem tej opowieści. W prawym dolnym rogu obrazu nanoszę całą wizję na płótno. Dorzucilem tu jeden ze swoich grzechów, czyli zamiłowanie do hazardu. To bardzo ważny dla mnie obraz. Kiedyś uwierzyłem, że artysta może zasłynąć jednym obrazem, tak jak Picasso „Guernicą”, Leonardo da Vinci „Mona Lisą”, Hieronim Bosch chyba wyżej wspomnianym obrazem, a w moim wypadku myślę, że w przyszłości ten obraz będzie tym, dzięki któremu będzie się mnie pamiętało. Obraz był przede mnie malowany na wiele sposobów, jest kilka jego wersji. To nie są repliki, czyli wierne powtórzenia, ale reminiscencje, inne spojrzenia na ten temat. Niestety, nie mogłem go pokazać w Dubaju, bo jest w nim za dużo nagości, a tam są te sprawy niedozwolone.

*Dziękuję bardzo za rozmowę.*

## Truchikiem po galeriach

W styczniu w Miejskiej Galerii Sztuki doskonała wystawa z pracowni doktorantów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, prowadzonej przez prof. Zbigniewa Bajka. „Kwadrat magiczny” i jego plastyczne, semantyczne znakowe czy symboliczne, bardzo różnorodne konotacje były tematem, na który wypowiedzieli się różnymi technikami artyści, przyszli pedagodzy. Ekspozycja podnosi w swoim całościowym wyrazie intelektualne wartości sztuki, kompozycja, forma i treść dzieła dla uczestników prezentacji nie są banalnymi terminami. Ekspozycja interesująco zaranżowana. Świetny katalog. Chodząc po wystawie, wędrując po niej jak w labiryncie, odkrywamy nowe wtajemniczenia i możliwości „Kwadratu Magicznego”. W realizacji tego artystycznego projektu brała udział częstochowianka, Joanna Banek-Chudy.

Częstochowska Zachęta w swojej Konduktorowni pokazała dwie wystawy z cyklu „On i Ona”, czyli prezentacje artystycznych par. Pomysłodawcą tak pomyślanych projektów wystawienniczych jest krytyk sztuki Piotr Głowacki. Pomysł interesujący w zamysle nie zawsze „iskrzy”. Grudniowa prezentacja Beaty Bebel-Karankiewicz i Włodzimierza Karankiewicza, wielowartościowa malarsko, dynamiczna przestrzennie, jest warta zapamiętania. Zwłaszcza prace Beaty Bebel-Karankiewicz, bardzo wyważone w kolorze, z wewnętrzną silną malarską emocją, wciągały do głębszej kontemplacji i smakowania kompozycji. Natomiast dwa wielkie, zupełnie nowe przedstawienia Włodzimierza Karankiewicza zwracały uwagę swoimi dynamicznymi skosami wyprowadzonych trójkątów i kolorystyczną odmienną strategią wyrazu.

Wystawa Joanny Jeżewskiej-Desperak i Andrzeja Desperaka jest trochę ekspozycją dla samej ekspozycji. Prace parokrotnie już w Częstochowie wystawiane nie budzą, przynajmniej we mnie, jakichś szcze-



Fot. Leszek Piłichowski

# PLASTYKA

gólnych emocji. Zwłaszcza „bizantyjskie” w wyrazie oprawy abstrakcyjnych w zamyśle kompozycji malarskich Andrzeja Desperaka mówią o przeroście formy nad treścią. Interesujący jak zwykle rysunek został trochę zepchnięty na plan dalszy. Obrazy Joanny Jeżewskiej-Desperak, których zasadniczym tematem jest ciało ludzkie transformowane na linearny język znaków i konturów, profili przenikających się sylwet, pokazują ciekawe przestrzenie układy o erotycznym charakterze. Jednak od strony koloru są niedopracowane, bez dźwięku.

Znakomity rzeźbiarz Sylwester Ambroziak z Warszawy w styczniu 2009 r. pokazał w MGS siebie innego, rzeźbiarsko „rozmnożonego”. Wystawa sylikonowych „gumisiów”, pełna dowcipnych skojarzeń, jak i innych połączonych z seksem podtekstów, momentami niepokojąca, przedstawia „nowego-starego” Ambroziaka jako artystę zarówno poszukującego, jak i człowieka wrażliwego na ludzką samotność w tłumie. Sylikonowe postaci dzieci, pogrupowane według płci, tworzą kręgi wtajemniczeń. Wtajemniczeń dramatycznych z jakąś bezosobową traumą, pomnożoną o powielony model rzeźbiarski „kosmicznego niewiniątka”. Twórca prezentował swoje rzeźby na indywidualnym pokazie w Częstochowie pierwszy raz w 1995 roku. Od tego czasu stał się już klasykiem w wydobywaniu w formie bryły ekspresji mowy ciała. Teraz pokazał przez dziecięce figury to, co nazwałbym tragicznym „mileniem gatunków”.



Fot. Leszek Plichowski



W Konduktorowni Zachęty w grudniu 2008 r. odbyła się wystawa fotografii Piotra Majchrzaka pt. „Pofabryczne”. Przemysłowe, industrialne, częściowo zabytkowe detale urządzeń przemysłowych: Welno-polu, Browaru, starej drukarni przy ulicy Waszyngtona, stały się głównymi „aktorami” profesjonalnie przygotowanych fotografów pofabrycznych skansenów i ich nostalgicznego piękna.



Fot. Leszek Pilichowski

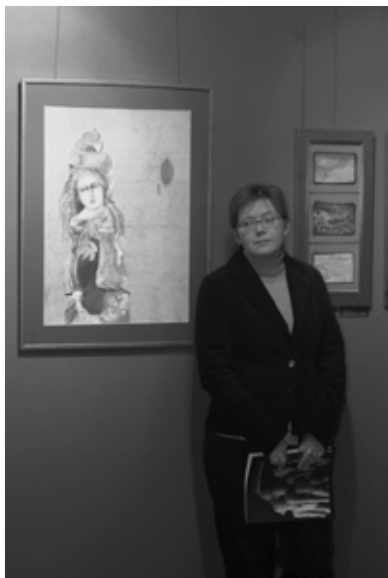
Bardzo ciekawą wystawę zaprezentowała w styczniu 2009 r. Galeria OPK Gaude Mater, pt. „etc...”, którą zrealizowało Muzeum Staszica w Pile. Działająca tam Galeria przygotowała na swoje pięciolecie istnienia ekspozycję gromadzącą prace 29 artystów z nią współpracujących. Na wystawie przeważają fotografie znanych i cenionych fotografików. Są też dzieła malarskie, collage, graficzne, rysunkowe czy też realizowane w technikach łączonych. Wśród wystawiających znalazły się takie znakomitości, jak Andrzej Strumiłło, Zbigniew Tomaszczuk, Andrzej P. Florowski, Marian Kucharski, Witold Przymuszała, Piotr Wołyński. Prezentacja w całości jest różnorodna, edukacyjna, bardzo pouczająca, zwłaszcza dotyczy to fotografii. Dobrze przygotowany katalog dopełnia dużą wartość wystawy, której kuratorami są Wojciech Besztręda, zarazem twórca i opiekun artystyczny Galerii w Pile, oraz fotografik Tomasz Ciesielski.

*Marian Panek*



# PLASTYKA

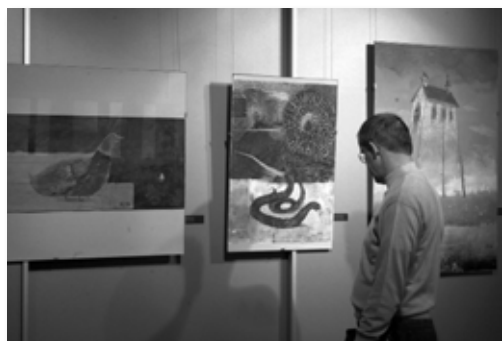
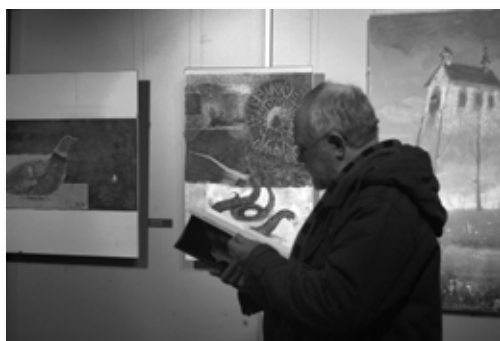
## Jurajska Jesień



Fot. Leszek Pilichowski



# PLASTYKA



## Monstrualna vis comica

Jakub M. Rawinis

W Częstochowie pojawił się znany aktor Jerzy Bończak. W Teatrze im. Adama Mickiewicza wyreżyserował farsę Raya Cooneya i Tony'ego Hiltona „Jeszcze jeden do puli?!”. Wybrałem się z nadzieją, że zażyję rozrywki i gdy tylko ze sceny zszedł dyrektor Dorosławski, bardzo korzystnie się prezentujący na tle czerwonej kurtyny, już po kilku minutach wiedziałem, że się nie zawiodę.

Cooneya, mistrza i teoretyka komedii scenicznej, w Częstochowie znamy. Dużą popularnością cieszy się u nas jego „Mayday” (i nie tylko u nas – aktualnie wystawia go krakowska Bagatela). „Jeszcze jeden do puli?!” to utwór, od którego zaczęła się jego kariera

dramaturga. Autor twierdzi, że nie miał wówczas pojęcia o konstruowaniu intrygi. Patrząc na precyzyjny przebieg wydarzeń w sztuce, trudno w to uwierzyć. A o czym to? Otóż biznesmen Jonathan Hardcastle postanawia podarować całkiem sporą kwotę synowi swego nieżyjącego współnika, Billy'emu Woodowi, ale pod warunkiem, że ten jest jedynym żyjącym krewnym zmarłego. Umieszcza zatem ogłoszenie w prasie. Pewnego wieczoru w domu bogacza pojawia się ów Billy. Przy tej okazji kilka innych osób ma nadzieję zdobyć coś dla siebie, i akurat w momencie, kiedy widz zdaje sobie sprawę, że nie będzie łatwo – dowiadujemy się, że Billy jednak nie jest jedynym żyjącym krewnym.

Wydawałoby się – cóż takiego, farsa? Tymczasem napisanie zabawnego i wciągającego przedstawienia jest o wiele trudniejsze, niż stworzenie spektaklu „awangardowego”. Tu nie wystarczy pomachać mopem, stanąć na głowie i kłać jak szewc. Akcja jest, jak wspominałem, obmyślona w najdrobniejszych szczegółach. Szybkie tempo nie pozwala się nudzić: można dać się porwać szaleństwu. Dialogi iskrzą się



Fot. Piotr Dłubak





Fot. Piotr Dłubak

humorem – i publiczność to docenia, wybuchając śmiechem przeciętnie po co drugim zdaniu. Do tego dochodzą sceny popisowe, takie jak tango, w którym bierze udział kilka postaci, czy pojedynek prestidigitatorski. Reżyser i zespół musieli silnie się przyłożyć, by spełnić wymagania reżysera, ale pokazali, że można na nich liczyć.

Wszyscy aktorzy spisali się na medal. W pierwszym rzędzie sam Jerzy Bończak, kreujący kilka postaci, różniących się temperamentem i sposobem wysławiania się. Billy Wood to prosty, niezbyt rozgarnięty człowiek z klasy robotniczej, mówiący językiem odpowiednim do pochodzenia, inny kuzyn zaś jest postacią subtelniejszą... i do tego jąkałą. Bończak wspominał niegdyś, że woli grać gagatków niż amantów, i jego udział „Jeszcze jeden do puli?!” potwierdza to w całej rozciągłości. Wśród kilku postaci odtwarzanych przez reżysera dominują właśnie gagatki (sympatyczny i niesympatyczny), a tylko wspomniany jąkała może uchodzić za amanta, tyle, że karykaturalnego. Interpretacje Bończaka różnią się na tyle, że widz nie ma problemów z rozróżnianiem postaci. Przy szyb-

kim tempie gry Jerzy Bończak ani razu się nie pomylił, chociaż raz miałem wrażenie, że lada chwila do tego dojdzie. Czapki z głów!

Rolę malarki Cynthii, córki Hardcastle'a, odtwarzała, również przybyła gościnnie, Magdalena Waligórska (Wioletka z „Rancza”) – na początku lekko szarżowała, ale potem się ładnie poprawiła.

Z częstochowskich aktorów na plan pierwszy wysunął się Andrzej Iwiński w roli zgryźliwego pana domu. Dostał oklaski, gdy tylko wszedł po raz pierwszy na scenę, a właściwie brawurowo wjechał na wózku inwalidzkim. Podobno w czasie prób Iwiński miał jeszcze pewne problemy z kierowaniem tym pojazdem; tymczasem na premierze pędził po scenie wręcz wyczynowo. Trochę rozczarowuje Michał Kula jako adwokat Hardcastle'a, Arnold Piper: zapowiadał się na świetnego prawnika safandule, jednak w ciągu przedstawienia interpretacja poszła w stronę pijaka; to jednak mogło wynikać ze scenariusza, albowiem bohaterowie nie wylewają za kółkiem.

Iwona Chołuj odtwarzała Amy, siostrę Hardcastle'a, i emanujący z niej surowy erotyzm idealnie pasowała do postaci. Ewa Agopsowicz-Kula wcieliła się nato-

# TEATR



Fot. Piotr Dlubak



Fot. Piotr Dlubak

miast w Winnie, choleryczną żoną Billy'ego Wooda. Była to rola może nieco mniej istotna dla intrygi, ale w żadnym razie nie została potraktowana ulgowo: w tych scenach, w których występuje, Winnie była wszędzie. Nad rozwojem wydarzeń starają się zaś panować dwaj intryganci: Charlie Barnet, pracodawca Billy'ego, podający się za adwokata, i bezczelny kamerdyner John. Te dwie postaci, odgrywane przez Adama Hutyrę i Antoniego Rota, wydają się stanowić element trzymający intrygę w całości; tyle, że wydarzenia coś za często wymykają się im spod kontroli.

Akcja, jak zwykle u Cooneya, rozgrywa się w czasie rzeczywistym, to znaczy – mamy jedność czasu: przez dwie godziny sztuki obserwujemy dwie godziny jednego wieczoru. Scenografia przedstawia salon w domu Hardcastle'ów, bo z kolei jedność miejsca sprawia, że to właśnie ów salon

widzimy. Wielkie znaczenie dla akcji mają umieszczone po bokach drzwi, przez które ciągle ktoś wchodzi i wychodzi (do ogrodu, do biblioteki lub do innego pomieszczenia). Muzyka, dobrana przez Małgorzatę Małaszko, dość dobrze wpasowuje się w ogólny nastrój historii. Nie pasował mi tylko odgłos gongu, rozlegający się za każdym razem, gdy ktoś dostał po głowie: wydał mi się zbyt miękki i mało gwałtowny, może lepsze byłoby uderzenie w kocioł albo arkusz blachy?

„Jeszcze jeden do puli?!” to kawał porządnie zrobionej rozrywki teatralnej. Co ważniejsze, spektakl doskonale uwidacznia, jak wielką, wręcz monstrualną „vis comica” obdarzeni są aktorzy z naszego teatru. Moim zdaniem, gdyby Teatr im. Adama Mickiewicza wyspecjalizował się w farsach, miałby szansę stać się jedną z najlepszych scen w kraju. Jeżeli oczywiście krytycy będą skłonni przyznać, że farsa jest sztuką.



Fot. Piotr Dłubak

## CZTERDZIEŚCI LAT MINĘŁO...

Rozmowa z Jerzym Salwarowskim  
dyrektorem artystycznym Filharmonii  
Częstochowskiej

**Minęło 40. lat Pana pracy artystycznej. Z perspektywy czasu jak ocenia Pan ten okres w swoim życiu?**

Uważam ten okres w pewnym sensie za spełnienie, może nie doskonałe i nie całkowite, ponieważ mam jeszcze zamiar coś w życiu robić i to lepiej niż dotychczas. Tak więc wydaje mi się, że jest po pewna cezura, uważam, że warta zaznaczenia, cezura w moim życiu, która spowoduje spojrzenie trochę wstecz i obejrzenie tego, co już zrobiłem i będzie to moment do podsumowania. Pewne jest, że ten okres uważam za udany. Mój wkład w życie muzyczne w Polsce jest dość mocny, zarówno w warstwie bycia dyrektorem artystycznym, jak i dyrygentem, bo przeciwieństwem całą Polskę przemierzyłem i przejeździłem wielokrotnie z różnymi filharmoniami i teatrami muzycznymi. Ilość premier operowych jest dość okazała a koncertów symfonicznych nie zliczę. Można powiedzieć, że rokrocznie odwiedzam prawie wszystkie filharmonie. Tak więc myślę, że jestem w Polsce osobą znaną, a ponieważ zapraszają mnie stale, więc myślę, że i cenioną. Oczywiście każdy chce lepiej to robić, co robi i więcej robić, więc chciałbym, żeby koncerty które są mi proponowane, miały bardziej wybitny program albo żeby były bardziej wyeksponowane niż dotychczas, ale są to już drobiazgi. Myślę, że ten sam kierunek bym pozostawił, starając się cały czas iść do przodu i iść do góry, bo bez tego nie ma sukcesu. Jak się stoi w miejscu, to się jednocześnie cofa.

**Na swoim koncicie ma Pan liczne koncerty, jak Pan już wspominał w Polsce i zagranicą. Które z nich uważa Pan za swój życiowy sukces?**

Myślę, że parę by się uzbierało. Pierwszy mój taki sukces naprawdę, to był mój dyplom, 39 lat temu w Filharmonii Krakowskiej, gdzie dyrygowałem III Symfonię Es-dur „Eroica” Ludwiga van Beethovena. Jedną z miar sukcesu muzycznego były kwiaty, które otrzymałem po koncercie. Były to takie narecza, że musiałem je trzy razy obejmować i ręce się nie zamylały. To jedno. Drugim takim koncertem bardzo ważnym, był koncert finałowy konkursów dyrygenckich, tzn. konkursu katowickiego a potem konkursu budapesztańskiego. Tam dyrygowane przeze mnie „Tańce z Galanty” Zoltana Kodály, były wielkim sukcesem. Po koncercie, podszedł do mnie koncertmistrz Narodowej Orkiestry Węgierskiej i powiedział, że to jest ich muzyka, ale tak to on jeszcze jej nie grał. Następnie w Sienie we Włoszech, koncert po zdobyciu pierwszej nagrody na konkursie, gdzie dyrygowałem te same „Tańce z Galanty”, tak się jakoś złożyło a może miałem takie szczęście. Wreszcie, później, wyjazd z Filharmonią Śląską do Francji na festiwal, gdzie mój „Ognisty ptak” spotkał się takim aplauzem, że ludzie w kościele, w którym był koncert, walili pięściami i nogami w ławki. Był to ogłuszający huk. Nie że ludzie bili brawo, tylko walili pięściami w poręczę ławek - i to zapamiętam na zawsze. To wreszcie koncerty wyjazdowe, najróżniejsze, np. z Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia w Madrycie, w sali Narodowej Filharmonii Madryckiej. Dyrygo-



wałem tam IV Symfonię Piotra Czajkowskiego i ten koncert utkwił mi w pamięci. Były to jeszcze koncerty w Kairze, byłem dwukrotnie, raz z moim synem Hubertem grał koncert Prokofiewa. I wreszcie ostatni mój koncert w Rio de Janeiro, w sierpniu ubiegłego roku. W Ameryce Południowej byłem po raz pierwszy, biorąc pod uwagę kontynenty na których miałem okazję wystąpić, brakuje już tylko Australii. Myślę, że są to takie wspomnienia, nie wszystkie i nie całkowicie pełne, ponieważ nie da się tego tak usystematyzować i trzeba by sobie to zapisywać, żeby wszystko ułożyć w całość. To, co pozwoliłem sobie przekazać, to tylko to, co mi się nasuwa w pamięci w tej chwili, ale takich różnych koncertów było o wiele więcej.

**Nagrał Pan, ze swoim udziałem w roli dyrygenta, wiele płyt. Niektóre z nich otrzymały nagrody. Możemy zatem przypuszczać, że nie poprzestanie Pan na tych, które już znać?**

Oczywiście. Idąc z duchem czasu, staram się spełniać oczekiwania tych, którzy proszą mnie, abym nagrał płyty. Tak więc po Gershwinie dawno temu nagrany a który dostał złotą płytę, po całym cyklu Pomatów Symfonicznych Mieczysława Karłowicza, po nagranych w Szczecinie koncertach Bhramsa i Prokofiewa z moim synem i po słynnych „Trzech Kapryсах Paganiniego” Karola Szymanowkiego, przyszedł czas w Częstochowie na nagranie dwóch płyt. Może nie całkowicie w muzyce poważnej, bo była to płyta z udziałem zespołu jazzowego Five O’Clock Orchestra a druga z udziałem Adama Makowicza, znanego pianisty, również jazzowego. Myślę, że i taką muzykę trzeba grać bardzo dobrze albo jeszcze lepiej i to udało się zrobić.

Z wielką radością muszę powiedzieć, że nie tak dawno odbyła się prezentacja mojej płyty, która powstała niejako po drodze. Mianowicie, dwa lata temu w Filharmonii Narodowej udało mi się uprosić dyrektora Antoniego Wita, żeby mój koncert z symfonią „Odrodzenie” Karłowicza został nagrany live. Przeleżał się ten koncert na półce dwa lata. Lecz nie tak dawno firma Dux która nagrywa dla mnie, zmontowała ten materiał dźwiękowy a Ministerstwo Kultury i Sztuki sfinansowało wydanie mojej płyty Filharmonia Narodowa - Symfonia „Odrodzenie” Mieczysława Karłowicza. Również i z tej płyty jestem bardzo zadowolony.

**Mając na swym koncie wiele sukcesów, czego Pan życzyłby sobie na przyszłość?**

No cóż. Myślę, że bardzo ważną rzeczą jest od czasu do czasu móc odwiedzić orkiestrę i miejsce, gdzie jeszcze nie byłem, ponieważ to daje nieprawdopodobnie naładowanie akumulatorów. Bo nowy człowiek w nowym miejscu jest zawsze bardziej interesujący, niż ten sam dyrygent w tej samej filharmonii po raz enty. Myślę tu o koncertach w Polsce. Zawsze można to zrobić jak najlepiej ale jest to człowiek już znany, jest to człowiek swój, do którego podchodzimy tak, jak pochodzimy do współmałżonka ze starego i dobrego małżeństwa. Natomiast, jak się gdzieś gdzieś w nowe miejsce, to jest zawsze ten powiew nowości, orkiestra inaczej reaguje, publiczność również i to właśnie ładuje akumulatory. Chciałbym więc, aby takich miejsc zdarzało mi się coraz więcej, bo to pomaga działać w momentach, w których jest mi ciężko. Są takie momenty, że jest mi bardzo ciężko z powodów może nie czysto muzycznych, ale z powodu uytuowania życia muzycznego w Polsce i tego w ogóle, co się dzieje wokół

mnie w warstwie, powiedziałem, bardziej administracyjnej niż muzycznej. Właśnie to, że się gdzieś tam pojawię, gdzie mnie bardziej aplauzują, powoduje, że mogę przeżyć i te ciężkie chwile.



**Tekst i zdjęcia:**  
**Zbigniew Burda**

## PIERWSZY POCAŁUNEK

Tadeusz Gieryski

W życiu osobistym przeżyłem cztery epoki: 10 lat przed wojną (to okres najpiękniejszy), okupację niemiecką, komunę i wreszcie tzw. III Rzeczpospolitą. Co wyniosłem z tych czterech rozdziałów? Jak je oceniam? Pierwszy okres był wspaniały, ostatni najgorszy. Pomijając osobiste wspomnienia i wrażenia – dwudziestolecie międzywojenne uważam za najowocniejszy okres Polski od XVIII wieku. Mimo Berezы Kartuskiej zbudowano wówczas tak wiele, a przede wszystkim zjednoczono naród, rozczłonkowany na trzy zabory. I trzeba pamiętać, że na czas Dwudziestolecia położył się cieniem wieloletni kryzys gospodarczy.

Z pierwszej, dziecięcej epoki, poprzez kurtyne czasu przychodzą do mnie, jak duchy, różne odgłosy, obrazy, zapachy. Nieszawa: rechotanie żab, rozbuchana zieleń, turkot pociągów towarowych, warkot samolotów nurkujących nad stacją, gdzie mieszkaliśmy. Skąd one? To romantyczna historia. Miałem dwie przyrodnie, starsze siostry. Uwielbiały wojskowych, zwłaszcza lotników. W Toruniu, niedaleko Nieszawy, stacjonowały polskie siły powietrzne. Pamiętam, że pewnego dnia przybyło do nas stamtąd dwóch pilotów. Kilka dni później przylecieli samolotami. Krążyli nad dworcem kolejowym. Gdy jeden z samolotów nurkował wprost na mnie, rzuciłem się z przerażenia twarzą na peron. Obie siostry wymachiwały tymczasem chusteczkami do powietrznych pojazdów. Dopiero po wojnie dowiedziałem się od starszej, Zofii, że jeden z tych oficerów lotnictwa nazywał się Stanisław Skalski, który potem zasłużył się bardzo w bitwie o Anglię w 1940 roku. Po wojnie Skalski wrócił do ojczyzny, ale został aresztowany i więziony przez kilka lat. Po wyjściu na wolność osiadł w Warszawie, gdzie się ożenił. Siostra, już zamężna, jakieś dziesięć lat temu, znalazła telefon Skalskiego, umówili się w jednej z warszawskich kawiarni. Opowiedziała mi o tym sentymentalnym spotkaniu. Pamiętam, że gdy przed wojną Skalski przyjeżdżał do Nieszawy, rozmawiałem z nim o samolotach, wojnie w Abisynii (tak wówczas nazywano Etiopię) oraz o wojnie domowej w Hiszpanii.

Wspominałem o samolotach. Nad ziemią kująką w owym czasie unosiły się również balony. Zwłaszcza, gdy odbywały się zawody o puchar Gordon – Bennetta. Balony startowały z Belgii. Zachodni wiatr gnał je na wschód, m.in. do Polski. Liczyła

się odległość od startu do miejsca lądowania. Kilka razy w latach trzydziestych triumfowali piloci polscy. Pamiętam, że raz w okolicy Nieszawy wylądował baloniarz niemiecki. Widziałem go potem siedzącego w bufecie, oczekującego na pociąg. Po miesiącu mówiono, że było to niemiecki szpieg, który z balonu fotografował teren.

Pisząc w poprzednich numerach „Alej 3” o okresie mojego chłopięctwa, zupełnie pominąłem sferę erotyczną. Kiedy się więc po raz pierwszy zakochałem? Zdarzyło się to w okresie przedwojennym. Na wakacje pojechałem do wujka, który był lekarzem w Laskarzewie. Pod wieczór poszedłem na niewielki plac w miasteczku, gdzie zwykle wieczorem zbierały się dzieci. Na środku placu leżał olbrzymi głaz, na którym stała, w blasku zachodzącego słońca, nieznajoma dziewczyna. Miała piękną twarz. Patrzyłem na nią nie więcej niż dziesięć sekund. Wreszcie zeskoczyła z kamienia i zmieszła się z gromadką dzieci i młodzieży. Więcej jej już nigdy nie widziałem. Po tylu dziesiątkach lat mogę powiedzieć: ikona mojej wyobraźni.

Pierwszy erotyczny pocałunek nastąpił w ostatnim roku okupacji, gdy mieszkaliśmy na wsi. Obok naszej chaty był staw z karpiami, należący do sąsiada o imieniu Grzegorz. Był samotny. Od czasu do czasu przychodziła doń bratanica, starsza ode mnie dwa lata. Któregoś popołudnia (był ostatni wrzesień okupacji) poszliśmy do pobliskiego lasu, żeby zbierać laskowych orzechów. Znaleźliśmy krzew z orzechami, rosły jednak wysoko. Podnosiłem lrkę raz po raz do góry, trzymając za nogi. Sukienka jej opadała mi na głowę. Oddychałem erotycznym zapachem ciała dziewczyny. Pocałowaliśmy się, mocno, namiętnie. Ja – pierwszy raz w życiu. Przed wojną, przed każdym filmem wyświetlano „dodatek” czyli przegląd tygodnia. Symbolem dodatku była obracająca się kula ziemiska z zaznaczonym i konturami kontynentów. Taki sam obraz ujrzałem przed oczyma, gdy całowałem. Po prostu zakreśliło mi się w głowie. Irena ciągnęła mnie w ciemniejszą stronę lasu, ale zaprotestowałem. To było dla mnie i tak dużo.

Z Daną (Danutą) poznałem się po wojnie, w 1946 roku. Oboje chodziliśmy do I klasy liceum. Ja do męskiej, ona do żeńskiej szkoły średniej. Zwyczajem tamtych lat, odprowadzając ją po szkole do domu, niosłem jej teczkę. Mieszkała w ładnej jednorodzinnej willi. Mieszkała z ojcem, jej matka zginęła podczas wojny. Któregoś dnia zaprosiła mnie do siebie, gdyż jej ojciec (inżynier) miał wyjechać służbowo na dwa dni.

W jednym oknie wisiała żółta firanka, co miało znaczyć, że Danka jest sama. Przy małym stoliku

dwa fotele. Na stoliku dwie filiżanki herbaty. Postanowiłem zachować się wobec dziewczyny po męsku, ostro, zdecydowanie. Chciałem być macho, jak byśmy dziś powiedzieli. Ale najpierw chciałem być poetą. Wyjąłem więc swoje bazgroły i zacząłem głośno czytać. Pięć minut, dziesięć, półgodziny. Nagle Dana podniosła głowę i spojrzała na mnie półprzytomnym wzrokiem. Zrozumiałem, że poezji miała już dość. Wyciągnąłem dziewczynę zza stołu, przycisnąłem do rozgrzanego pieca (była zima) i rozszarpywałem jej usta namiętymi pocałunkami. Po kilkunastu minutach omdlała Dana usunęła mi się na ręce. Zaniósłem ją bez wysiłku do drugiego pokoju, na kanapę i ręką szarpnąłem z bluzkę, aż poleciały guziki. Ujrzałem dwie rozkwitające piersi, i wtedy nastąpiła u mnie psychologiczna zapaść. Podniosłem się z kanapki i powiedziałem, że muszę iść do domu. Spojrzała na mnie jasnymi, ślicznymi oczami i po chwili powiedziała: „Tadziu, wiersze może potrafisz pisać, ale zachować się jak prawdziwy mężczyzna – nie potrafisz.” Dlaczego postąpiłem tak, jak nie chciałem postąpić? Nie wiem.

*Tadeusz Gieryski*

Tadeusz Gieryski

## Wigilia

*Siadamy do wigilii. Sami.  
Tyle niezajętych krzeseł.  
Dzieci, wnuczeta – daleko za krajem.  
Stary stół, biały obrus, opłatek. Jeszcze  
na niebie nie widać pierwszej gwiazdy.  
Czekamy. Dwoje starych, schorowanych ludzi.  
Nasz wspólny, życiowy film przesuwają się  
przed oczami. Popęhiliśmy dużo wiele  
małych i dużych. Ja zabiłem człowieka w  
obcym mundurze. Maria nie zawsze była miła.  
Dzieci nie ma, wnucząt nie ma. Trochę  
Smutku, trochę radości. Pół na pół.  
Biały obrus, opłatek na białym talerzyku.  
Na niezajętych krzesłach siedzą wspomnienia.*

## Pół wieku studenckiego śpiewania

Janusz Mielczarek

Wspominając w tych felietonach nieco odleglesze czasy, będąc na co dzień zdominowanym przez jakże inne dzisiaj, zadaję sobie czasem pytanie, czy to aby naprawdę było? A jednak BYŁO!

Październik 1956 roku w Polsce nie przyniósł w polityce oczekiwanych zmian. Lepiej zaznaczyły się one w kulturze, co objawiało się głównie w dostępie do literatury i sztuki Zachodu. Środowiska studenckie jako sejsmografy przemian stworzyły wówczas wybitne teatry i kabarety, jakimi były: gdańskie „Bim-Bom”, warszawskie – „Stodoła” i STS. Na tej fali powstawały kolejne.

Okres ten w sposób spontaniczny zaowocował również inicjatywami kulturalnymi w niewielkim, na owe czasy, częstochowskim środowisku studenckim. Na przełomie lat 50. i 60. Politechnika Częstochowska, rezydująca w budynkach pokoszarowych przy ul. Dąbrowskiego oraz w zbudowanym w szczyrim polu Pawilonie Budowy Maszyn, wraz z dwoma trzypiętrowymi domami studenckimi przy ul. Kilińskiego, była wyspą poza północnymi obrzeżami miasta. Zabudowa miejska sięgała ul. Jasnogórskiej i Chłopińskiego, a uruchomiona w 1959 r. linia tramwajowa kończyła się na wysokości obecnego „falołwa” przy al. Armii Krajowej 12/30. Być może, to właśnie odcięcie od miasta, które w swojej ofercie kulturalnej miało głównie Teatr i Orkiestrę Symfoniczną, było motorem inicjatyw w częstochowskim środowisku studenckim.

Z kronikarskiego obowiązku odnotowuję:

- w roku 1956 powstaje Dyskusyjny Klub Filmowy Studentów i Inteligencji;
- w styczniu 1959 powstaje Klub Studencki „Filutek”;
- w marcu 1959 odbywa się pierwszy spektakl STS „Bambino” – „Białe na czarnym”;
- w czerwcu 1959 Kabaret „Kameleon” prezentuje pierwszy program – „Wyc albo nie wyc”
- w sierpniu 1959 powstaje Grupa Literacka „Profile”
- we wrześniu 1959 uruchomiono kolejny klub studencki „Kiks”
- w grudniu 1959 rozpoczyna działalność „Radio – Pryzmaty”
- przez cały czas działa z powodzeniem utworzony kilka lat wcześniej i prowadzony przez Grzegorza Lipowskiego Zespół Taneczny.

# FOTOGRAFIA z HISTORYJKĄ

Ponieważ początek lat 60. zaznaczył się pewną stagnacją w działaniach, wciąż pomysłowi twórcy inicjatyw klubowo-teatralnych, w tym m.in. Andrzej Bińkowski i Andrzej Żelazny, postanowili zorganizować studencką imprezę o zasięgu ogólnopolskim. W ten sposób narodził się i zmaterializował pomysł Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenek i Piosenkarzy z Kabaretów i Teatrów Studenckich w Częstochowie. Była to pierwsza – co podkreślam z całą stanowczością i odpowiedzialnością – tego typu impreza w Polsce, która potem przerodziła się w coroczne festiwale piosenkarzy studenckich, głównie w Krakowie.

Przeгляд odbył się 13 i 14 stycznia 1962 roku w Teatrze im. A. Mickiewicza w Częstochowie. Wystąpili piosenkarze studenci z Warszawy, Krakowa, Łodzi, Gdańska, Szczecina, Wrocławia i Częstochowy. Z Kabaretem „Cyrulik” z Krakowa anonsowana była Ewa Demarczyk, wówczas jeszcze szerzej nieznaną, która jednak do Częstochowy nie przyjechała. Studencki Teatr Satyryków z Warszawy, który podróżował do Częstochowy zdezelowanym autobusem z demobilu, miał po drodze przymusowy przystanek na naprawę i wystąpił poza konkursem. Szkoda, bo miał w swoim zespole takie indywidualności, jak Anna Prucnal i Zofia Merle. Warto tu przypomnieć, że warszawski STS miał w tamtych czasach zakaz występowania na Śląsku! Tym samym objęty był zespół big-bitowy „Czerwono-Czarni”.

Jedną z gwiazd imprezy była Fryderyka Elkana z warszawskiej „Stodoły”, która, jak pisał katowicki „Wieczór”: „...zawiozła do stolicy nagrodę za inter-

pretację ślicznej kryminalno-romantycznej ballady Chica Helka, Młynarskiego i Orłowa”. O innym laureacie Przeglądu, Tadeuszu Chyle, cytowany wcześniej „Wieczór” pisał: „Jeżeli można mówić o zawodowym poziomie tego przeglądu amatorów, to – nie licząc zawodowego STS – prezentował go niewątpliwie Tadeusz Chyła z gdańskiego To-tu. Oby wszyscy nasi zawodowi piosenkarze dysponowali taką kulturą podania piosenki i obyciem na estradzie!”.

Nagrody zdobyli także częstochowscy „Bambinowcy” – Krystyna Maciejewska oraz Jerzy Góra i Andrzej Żelazny. Góra i Żelazny interpretowali mój tekst bardzo popularnej wówczas „Ballady o świętym” (również nagrodzony). Jak pisała w „Sztandarze Młodych” Barbara Henkel: „Ballada o świętym utrzymana w stylu „pod kościołem” wywołała takie nastroje bezpośredniości, że publiczność zaczęła rzucać monety na scenę”. Dodam, że tekst ballady opowiadał o autentycznym wydarzeniu z lat 50., kiedy to pomysłowi podjasnogórscy handlarze „świętościami”, z powodu braku papieru fotograficznego do kopiowania wizerunków świętych, wykupili w księgarniach portrety Marksa, które, przemalowane, sprzedawali jako obrazy św. Józefa. Tekst kończyła zwrotka, w której Marks prosił:

Nie pozwól na to, oj, Panie Boże,  
Bo za sprawą straganiarzy  
Zaczną ludziskom wciskać „Kapitał”  
Zamiast nabożnych brewiarzy!

Publiczności najbardziej podobała się na Przeglądzie piosenka Kabaretu „Cyrulik” z Krakowa. Nie zyskała uznania w oczach jury, któremu przewodniczył „słuszny” w tamtych czasach poeta – Stanisław Ryszard Dobrowolski, ale przetrwała już blisko pół wieku. Wciąż nuca ją dzieci i dorośli, starzy i młodzi. Napisana, skomponowana i zaśpiewana przez studenta medycyny Franciszka Serwatkę nosiła tytuł – „Konik na biegunach”.

*Trudno dziś sobie wyobrazić, że z tak ważnej dla środowiska imprezy nie ma żadnych fotografii. To, co reprodukuje, to fragment fotograficznej relacji z późłkłej strony katowickiego „Wieczoru”; wówczas populudniówki o kilkuset tysiącach nakładu.*





## Jasna Góra w zbiorach Biblioteki Głównej Akademii Jana Długosza

*„Wiedz o tym, że jest miejsce śród polskiej ziemi,  
Dające piękny widok ku śląskiej granicy.  
Tutaj wznosi się góra wysoka, nad którą  
Nie masz miłszej – stąd zwie się jedna Jasną Górą”*

Grzegorz z Sambora

Otwartą w grudniu 2008 roku wystawę zainicjowała dyrektor Biblioteki Głównej AJD, Alicja Raczyńska. Prezentuje ona część posiadanych przez bibliotekę zbiorów dotyczących Jasnej Góry, zgromadzonych przez lata jej istnienia. Starannie przygotowany przez Dział Informacji Naukowej i Bibliografii katalog wystawy, zawiera reprodukcje większości pokazanych prac oraz szczegółową dokumentację bibliograficzną.

Sama prezentacja w sali wystawienniczej pokazuje dzieła szlachetnych technik graficznych: wspaniałe medzioryt z około 1710 roku, równie piękny zbiór drzeworytów sztorcowych z „Tygodnika Ilustrowanego” i „Kłósów” z lat 1859-1890, rzadkie litografie, chromolitografie oraz fotografie i pocztówki wydane do 1939 roku, a także książki, które ukazały się od XIX wieku do chwili obecnej.

Wernisaż stał się okazją do małej inwentaryzacji części zbiorów dotyczących Jasnej Góry i miasta, które zostały zgromadzone przez ponad 37 lat istnienia placówki (Biblioteka Główna Akademii Jana Długosza jest kontynuacją działalności istniejącej od 1971 roku Biblioteki Głównej Wyższej Szkoły Nauczycielskiej, powstałej na bazie księgozbioru Studium Nauczycielskiego i Studium Ekonomicznego).

Postępując się tylko słowami kluczowymi „Jasna Góra” i „Częstochowa” w bazie druków zwartych znajdujemy 34 tytuły o klasztorze i 44 tytuły o mieście, w katalogu zbiorów specjalnych natomiast mamy 5 vol. starych druków związanych tematycznie z Jasną Górą i 32 vol. wydane przez Drukarnię Jasnogórską; 60 grafik związanych z Jasną Górą i 30 grafik związanych tematycznie z Częstochową; 5 medali przedstawiających Częstochowę; w rękopisie 2 kroniki Państwowego Seminarium Wychowawczyń Przedszkoli w Częstochowie, gdzie są zawarte liczne zdjęcia; 47 map miasta i województwa częstochowskiego; 61 fotografii, w tym 15 związanych z Jasną Górą i 49 związanych z Częstochową; ok. 400 pocztówek Jasnej Góry wydanych do 1939 roku i ok. 300 pocztówek miasta wydanych do 1939 roku oraz ok. 200 pocztówek Jasnej Góry i Częstochowy wydanych po 1945 roku; ok. 35 ok. jednostek ewiden-

cyjnych tzw. dokumentów życia społecznego (DŻS) związanych z Jasną Górą, ok. 180 jednostek ewidencyjnych DŻS związanych tematycznie z Częstochową i ok. 120 jednostek ewidencyjnych DŻS związanych tematycznie z WSP i AJD. Ponadto 7 jednostek ewidencyjnych przeźroczy związanych tematycznie z Jasną Górą, 1 film na DVD o Częstochowie; 1 dokument elektroniczny o Jasnej Górze; 10 jednostek ewidencyjnych mikrofilmów, dokumentujących materiały o klasztorze i mieście oraz rejestrujących starodruki wydane na Jasnej Górze. Warto dodać, że starodruki są profesjonalnie oprawione przez krakowski Starodruk w piękną cielecą skórę, z zachowaniem cech oryginalnej oprawy, po uprzednio wykonanych zabiegach konserwacyjnych.

Biblioteka Główna AJD jest jedną w Częstochowie biblioteką naukową o tzw. profilu uniwersalnym, której zbiory mają przede wszystkim zapewnić podstawową literaturę obowiązującą i uzupełniającą dla studentów oraz literaturę naukową dla pracowników. Zgromadzone przez lata jej istnienia zbiory o wspólnym mianowniku częstochoviana, może nie są imponujące w stosunku do zbiorów Jasnej Góry, ale są owocem konsekwentnie prowadzonej polityki gromadzenia oraz starań poszerzenia warsztatu pracy dla badaczy i naukowców, do czego w znacznej mierze przyczynił się fakt powołania przed laty w AJD Instytutu Historii. Obowiązek dokumentowania historii klasztoru, miasta i regionu pozwolił na szerzej zakrojone poszukiwania na aukcjach antykwarycznych druków rzadkich i zbiorów specjalnych, szczególnie, że zbiory Biblioteki Jasnogórskiej nie są ogólnie dostępne wszystkim chętnym. Tak więc w ramach posiadanych środków finansowych, systematycznie zbiór źródeł wiedzy historycznej jest poszerzany, dlatego warto przyjrzeć się rara et curiosa prezentowanym w sali wystawienniczej Biblioteki Głównej AJD.

Joanna  
Grochowska





Leszek Pilichowski



Marek Grajcar

**Marian P. Rawinis**  
**CYGAN**

*Z cyklu: Dziennik podróży do miasta B.*

Po deszczu lipy pachniały mocno, a kałuże robiły się błękitne od nieba. Te drzewa, wzdłuż drogi wiodącej przez wieś, wyznaczały koniec mojego świata. Miałem pięć lat i surowy zakaz wychodzenia za bramę. Bo porwą cię Cyganie - mówiła moja matka. Nie wiedziałem, kim są Cyganie, ale byłem wystarczająco duży, żeby rozumieć, co znaczy być porwanym: nie zobaczyć więcej domu, podwórza, jabłonek i uli w sadzie, ani tych lip przy drodze i kałuż, gdzie tak pięknie odbijały się chmury, a woda miała temperaturę wiele przyjemną dla stóp i dla dłoni.

Latem często zostawałem sam na naszym wielkim podwórzu. Biegałem z zagiętym drutem za kółkiem, fajerką od pieca, pomiędzy drewnianą bramą a stodołą, budowałem mostki z patyków i kamieni. Albo rozmawialiśmy, siedząc na stopniu przed drzwiami do domu, w słońcu – ja i pies.

Co jakiś czas zaglądała tu z sąsiedniego podwórza pani Gorlewska. Stawała przy płocie, rozglądała się uważnie i pytała podejrzliwie: bawisz się grzeźnie?, a uzyskawszy twierdzącą odpowiedź, znikwała za krzakami bzu. Pani Gorlewska dawała duże poczucie bezpieczeństwa, słyszałem kiedyś, że jej i sto diabłów nie poradzi. A diabła widziałem na własne oczy: był czarny, włochaty, miał wielgaśne oczy, czerwony jęzór i widły w rękę. Był najbardziej przerażającym stworem, jaki kiedykolwiek pojawił się w pobliżu. Jeszcze teraz słyszę, jak stuka diabelskie kopyto.

Diabła przyszedł jeszcze zimą, z innymi. Dwaj pierwsi nie zrobili na mnie większego wrażenia. Chudy biskup wydawał mi się śmieszny, herod nosił koronę z błyszczącego papieru i mówił bardzo grubym głosem. Trzeci był anioł. Miał białą szatę, promieniste włosy oraz duże skrzydła. Chętnie bym zobaczył, jak fruwa, ale nie doczekałem się pokazu. Widziałem natomiast, jak pije wódkę. Kiedy podniósł do ust kieliszek, zobaczyłem, że ma złoty ząb. Anioł kojarzył mi się dobrze ze względu na ojca. Mama powtarzała, że ojciec jest w niebie, za chmurami, skąd patrzy na mnie i ocenia, jak się zachowuję. W niebie mieszkało podobno wiele takich pięknych aniołów, ale ich rola nie przedstawiała mi się jasno. Gdybym miał więcej odwagi, może zapytałbym anioła, czy zna mojego tatę i wie, kiedy wróci. Ale nie miałem aż tyle odwagi.

Przestraszyl mnie diabeł. Machał krowim ogonem i kołysał widłami w stronę otwartych drzwi ceki pieca, gdzie buchał ogień, a do których nie wolno mi było się zbliżać. Żeby nie trafić w jeszcze groźniejsze

płomienie, należało być grzecznym i uprzejmym, słuchać dorosłych, a szczególnie mamy, zawsze mówić pacierz wieczorem. Oraz być dobrym dla ludzi i dla zwierząt. Drżałem na myśl, że mogę popelić jakiś czyn, za który może mnie porwać ktoś tak straszny jak diabeł. Nadzieję pokładałem w pani Gorlewskiej. Jeśli diabeł, którego widziałem z bliska, był aż tak przerażający, jak straszna musiała być pani Gorlewska! Dobrze, że miałem ją po swojej stronie.

Natomiast Cyganów nie obawiałem się wcale. Nawet nie wiedziałem, jak wyglądają i z opowieści matki nie wyobrażałem ich sobie straszniejszych od diabła. Podobno zabierali dzieci, ale nie wiem dokąd i w jakim celu. Nie wiedziałem też, jak tamiego poznać i jak się przed nim obronić. Na diabła dobry był znak krzyża, co widziałem w wykonaniu mamy, może i Cyganie od tego uciekali.

Tamtego dnia panował wielki upał. Byłem w obejściu sam, bawiłem się na podwórzu. Wszystko przebiegało normalnie. Chętnie wyszedłbym na drogę albo chociaż pobujał się na otwartej furcie, ale zrezygnowałem, mając w pamięci niewidoczne wprawdzie, ale bardzo czujne oczy pani Gorlewskiej. A tu nagle ktoś stanął tuż obok mnie. Dwie kobiety, nie wiadomo jakim sposobem, znalazły się na środku podwórza. Były ciemnowłose, pięknie i bardzo kolorowo ubrane. Jedna z nichniosła na plecach zawiąniętko, wyglądała z niego czarnowłosa główka malutkiego dziecka. Kobiety uśmiechały się do mnie, jedna poprosiła o wodę do picia. Nie wolno mi było podchodzić do studni. Woda do picia znajdowała się w mieszkaniu, to jednak było zamknięte. I co tu robić? Przecież należy być dobrym. Dla Burka byłem już tego dnia dobry, dałem mu skórkę od chleba. Teraz przyszła pora, żeby być dobrym dla ludzi.

Chwyciłem stołeczek, przystawiłem do okna. Umiałem, przez łufcik, sięgnąć ręką do zamka. Wczołgałem się przez okno do pokoju, przeszedłem do sieni, a tam otworzyłem drzwi od wewnątrz. Obie kobiety weszły do mieszkania. Zakreśliły się zaraz po wszystkich pomieszczeniach, wcale nie ograniczyły się, jak sadziłem, do kuchni, gdzie przy wejściu stało wiadro ze świeżą i chłodną wodą. Mówiły do mnie, pytały o coś, ale nie bardzo rozumiałem.

Nagle usłyszałem okrzyki na podwórzu, i z hałasem wpadła do domu moja matka. Podobno ktoś widział, jak obcy kręcili się koło naszego gospodarstwa i powiadomił ją o tym. Matka krzyczała na mnie, że jestem niemądry i wpuszczam Cyganów do domu. Cyganie? To tak wyglądają Cyganki? A jak porywają dzieci, skoro żadna z nich nie miała worka ani nawet koszyka? Matka machnęła ręką, uspokojona, że nic złego się nie stało. Po czym okazała niekonsekwencję wobec swoich wcześniejszych ostrzeżeń i wcale nie wygnała obcych za ogrodzenie. Poczęstowała Cygan-

ki wodą, dała coś do jedzenia i wdała się w rozmowę – o dzieciach. Pamiętam tę scenę: czerwienie, fiole-ty spódnice i chustek, błyskotki na szyjach i palcach czarnowłosych kobiet siedzących przy kuchennym stole. Małeństwo w zawiniątku na plecach obudziło się i ziewało głośno.

Nauką z tego zdarzenia było dla mnie przekonanie, że matka zawsze czuwa nad małym człowiekiem oraz praktyczna wiedza, jak wyglądają Cyganie. No i miła świadomość, że nie są tacy groźni.

Wiosną 1982 roku spędziłem siedem tygodni w areszcie śledczym w Częstochowie. O tym, jak nie zostałem porwany przez Cyganów, opowiadałem w celi nr 48, na drugim piętrze. Czas mijał nam na oczekiwaniu, gadkach, kłótniach lub grach w kości. Ulubionymi tematami rozmów były nasze dawne przygody, rozważania nad surowością prawa stanu wojennego, a zwłaszcza szczegóły zapamiętanych z wolności jadlospisów, bo czasy były ciężkie i bywałyśmy głodni. W kilkuosobowej celi przebywało nas czteremastu, nie wszyscy mieścili się na ustawionych w trzy piętra żelaznych łózkach. Wieczorami dwaj z nas rozkładali materace na podłodze, gdzie wolne miejsce powstawało tylko wtedy, gdy postawiliśmy stół w pozycji pionowej.

Męskie to towarzystwo składało się z ludzi w różnym wieku i o zróżnicowanych profesjach. Przeważali złodzieje, zwłaszcza adepci tego zawodu, złapani na drobnych kradzieżach i włamaniach do sklepów. Byli też dostojni klasycy kilku podstawowych specjalności tej branży, byli oszuści i naciągacze, sprzedawcy skradzionych dóbr, sprawcy ciężkich pobić i poważnych wypadków drogowych. Byli recydywiści w zakresie napadów z bronią w rękę, był zabójca kobiety oraz człowiek, który zamordował starszka dla skórzanej kurtki. I jeszcze polityczni, ja i Witek S.

Wieczorami, kiedy strażnik gasił światło, zatapialiśmy się w nocnych gadkach. Ciemność sprzyjała rozmowom spokojniejszym, wyciszonym, bliższym duszy. To były dobre chwile, żeby skupić się na wspomnieniach i marzeniach – o wolności, swobodzie, o miłości. W celi nie mieliśmy gazet ani telewizji, na noc strażnicy wyłączały radiowy głośnik. Sprawdzała się stara więzienna prawda: w celi niezbędny jest gawędziarz. To ja występowałem w roli wajdeloty. Opowiadałem filmy i książki, wydarzenia prawdziwe i zmyślone, wygrzebywałem z zakamarków pamięci historie krwawe i straszne. A także romantyczne. Pragnęliśmy stać się muchą lub ptakiem, marzyliśmy o trzęsieniu ziemi, które rozwalą mury więzienia. Stuchali wszyscy, bez wyjątku, bo każdy tak samo pragnie wolności, słońca i miłości.

Leszek był kilka lat młodszy ode mnie. Miał oliwkową cerę i czarne włosy. Kiedy przyszedł do naszej celi, wyraźnie przedstawił się imieniem, ale nikt tego nie zapamiętał. Cygan to Cygan, wszyscy do niego zwracali się w ten sposób. On to traktował naturalnie, miał dwadzieścia kilka lat i czas, żeby przyzwyczać się do takiego traktowania.

- Cyganie handlują malowanymi końmi albo wyrabiają patelnie.

Leszek wpadł podczas nocnej kradzieży w sklepie z alkoholem. Poszedł tam z kolegą, na miejscu chcieli wypróbować towar, a gdy byli zajęci degustacją, nakryła ich milicja.

- Kowal zawinił, Cygana powiesili! – żartowaliśmy, ponieważ koleźce Leszka udało się uciec.

On sam odbierał te uwagi z humorem. Wprawdzie prawie nie chodził do szkoły, ledwie sobie radził z czytaniem, ale był bystrym i zrównoważonym chłopakiem.

- Póki Cygan nie wisi, to jeszcze nie wisi – odpowiadał ze spokojem.

Koleźdy z celi dopominali się ode mnie coraz to nowych historyjek, słuchali z ciekawością, dopytawali o szczegóły. Którejś nocy opowiedziałem im o dzieciństwie na mazurskiej wsi, o Cygankach i mojej dziecięcej naiwności. Słuchali z równie wielkim zainteresowaniem, jak wtedy, gdy mówiłem im o wojnie krymskiej, zdobyciu Bastyllii albo o zburzeniu Pompei. Z przejściem komentowali moje wspomnienia, przypominali sobie własne lub zasłyszane doświadczenia z Cyganami. Jeden tylko Leszek, zwykle skory do pytań i uwag, nie odezwał się wcale.

- No, co się boczysz? – spytałem następnego dnia. – Uraziłem twoją romską godność?

Wzruszył ramionami.

- Godność? – zapytał. – To coś, co zostało za bramą?

Zanim zdążyłem zaprotestować, powiedział szeptem:

- Nie w tym rzecz. Ja znam tę historię.

Wzruszyłem ramionami. Nie mógł znać mojego wspomnienia, nie publikowałem go ani nie opowiadałem nigdy wcześniej.

- Słyszałem od swojej matki – wyjaśnił. – Piła wtedy zsiadłe mleko w twojej kuchni. Mnie też dała spróbować. Podobno miałem sraczkę przez kilka dni.

Jako że wszyscy w celi nr 48 byliśmy już po wyrokach i czekaliśmy tylko na transport do poszczególnych zakładów karnych, co jakiś czas zabierali nam kogoś, a na jego miejsce przychodził ktoś nowy. Nazajutrz wywołano Leszka, żeby gdzieś w Polsce odsiedział swoje trzy lata. Nigdy więcej się nie spotkaliśmy. Nie zapamiętałem jego nazwiska, bo kto by takie rzeczy pamiętał. Cygan, to Cygan.

Janusz Mielczarek

## KOŁYSANI DŁONIĄ OLBRZYMA

Przeważnie omijam antykwariaty. Zapchane są porozuconymi, nieszczęśliwymi książkami, które kiedyś może nawet były kochane, potrzebne. Jedni przynieśli je tam, bo brakło groszy na jedzenie, innym zrobiło się ciasno w mieszkaniu, a jeszcze innym po prostu skończył się kalendarz. Szanuję antykwariuszy, ludzi trochę z innego świata, przeważnie pokomego serca i dziurawych kieszeni. To oni tworzą te przytułki dla książek. Wypycha się ich do miejsc, których już nikt nie chce wynająć, gdzie duszą się wilgocią, przywaleni pakami zbrązowiałego papieru przewiązanego sznurkiem używanym po wielokroć. Jest jeszcze inny powód mojej niechęci: na tych blokach poklejonych i pozszywanych kartek odkalkowały się emocje czytających w pociągach, na ulicy, po nocach zarwanych do białego rana. Dlatego z antykwariatów przeważnie wychodzę z bólem głowy. Jednak potrzeba szperania w poszukiwaniu książek bliskich lecz utraconych przeżycia. Tak było i tym razem.

„Romantyków” znalazłem dwa egzemplarze. Poprzednie, także w dwóch wydaniach, straciłem. Ale po co kupować dwie takie same książki, nawet w przypadku, gdy kosztują sumę równą rachunkowi za dwie kawy w kawiarni? Właśnie. Droge przez ten dość nowoczesny i pustawy dworzec kolejowy wybrałem dlatego, że jest tam automat z niezłą kawą, a wcześniej antykwariat, w którym przy okazji się znalazłem.

Z boku, odwrócona do mnie plecami dziewczyna czesała grzbiety książek. Nie widziałem jej twarzy.

- Niech pani weźmie ode mnie tę książkę – zaproponowałem.

- Do mnie pan mówił? – odwróciła głowę.

- Chciałem pani dać tę książkę.

- Mnie – zdziwiła się – po co?

- Warto ją przeczytać.

- Dziękuję, ale co to za książka?

- Wszystko wyjaśnię.

Zapłaciłem i wyszliśmy na szeroki, oszklony korytarz.

- W automacie przy schodach są napoje. Spróbuj pani?

Milczenie uznałem za zgodę.

- Ja piję kawę, a pani?

- Niech będzie.

Metalowe siedziska rozgrzane były od słońca sączące się przez szklany dach. Odsunęła się jak najdalej. Upiła kawę i mówiła powoli, jakby do siebie, stukając butem do taktu.

- Skoro czytasz książki, to wiesz, że jestem tu i piję automatyczną kawę z plastikowego kubka, trzymając wyszmelcowaną książczynę tylko dlatego, że moja kochana babcia uczyła mnie szacunku dla starszych.

- Wiem.

- I co z tego, piątkowy dziadku? Brać dziewczynę na... romantyczność – spojrzała na tytuł książki – dzisiaj. Na co ty upadłeś? Widzę cię, jak się napalasz i obśliniasz przy pierwszej lepszej dworcowej kurewce. Próchno w stanie komiczno-klinicznym.

Rzuciła przed siebie kubek. Poszedłem go podnieść.

- Mało ci? Nie dasz mi kopa? – zapytała, gdy wróciłem – Nie odchodź?

- Zrobimy to oboje. Być obśmianym to nie katastrofa.

- Przerabiałam to

- Wyglądasz na silną osobę. Ja też oberwałem, nieraz. Nawet przed chwilą.

- Poniosło mnie. Lichutka ta książeczka - zauważyła już spokojniej.

- Weź tę ode mnie, jest w twardej oprawie.

Zamieniliśmy się

- Jej autor... - jąkałem się, kluczyłem, nie chcąc jej splotyć. - Hm, co by ty o nim powiedzieć? Może to, że pochodzi z rodziny o polskich korzeniach. Z Polesia.

- Ale, ostatecznie, Ruski.

- Niby tak, ale jako nastolatek był z babcią na pielgrzymce na Jasnej Górze.

- Kiedy?

- Przed I wojną.

- Mam awersję do Ruskich – wydeła dolną wargę i zamyślona kiwała głową. - Mój pradziadek też stamtąd pochodził, zakochany był w Czajkowskim i Rachmaninowie, ale powstrzymywał pod Warszawą światową rewolucję przyniesioną na czerwonych bańkach. Zrewanżowali mu się dwadzieścia lat później w Katyniu.

- Niby jeden jeden.

- Nieprawda. Strzał w tył głowy to jest sto... tyśiąc do jednego. Morderstwo.

- Mojego ojca wieźli w tym samym kierunku. W czterech uciekli z transportu, gdzieś pod Kowlem, na Litwie. Przez dwa miesiące wracał nocami do domu, ale mu się udało.

- O czym ta książka?

- O morzu i miłości...

Zaśmiała się tak głośno, że dworcowa publika spojrzała ku nam.

- Niezła mieszanka. Można nią pompować balony niewracające na ziemię. A właściwie skąd wiesz, skoro ją teraz kupiłeś?

- Miałem już dwie. Są u ludzi. Pamiętam u których. Może im gdzieś przepadły, a może są potrzebne.

Przed rozstaniem wymieniliśmy numery naszych telefonów komórkowych. Kilka dni później jechali-



Rys. Arkadiusz Zajac

śmy z wnuczką na rowerach, ona szła z koleżankami. Podbiegła, chciała pożyczyć dyche. Zapytałem o książkę, odpowiedziała, że jeszcze ją ma.

Pierwszy SMS od niej był o tym, że dyche odda, i że wnuczkę mam super. W kolejnym zawiadomiła o wyjeździe nad morze, gdzie za parę dni okazało się, że jest „plaskato”. Dalej donosiła „o groźnym wybuchu, w którym odniosła ciężkie rany...”, by za dwie godziny dodać, że z... miłości. W ostatnim pisała, że jestem super, książka też. Nie może się doczekać naszego spotkania i obowiązkowo muszę wyjść po nią na dworzec.

Odpowiedziałem, dlaczego nie mogę tego zrobić.

Między łóżkami prawie biegła, rzucając po drodze plecak. Objęła mnie, za mocno.

- Co się stało? – zapytała. – Dlaczego nic o tym nie pisałeś.

- Jest dobrze, jutro wychodzę. Nie wywożą mnie. Wychodzę. – Mówiłem cicho, onieśmielony jej wyglądem. – Ale na razie wita cię piątkowy dziadek bez szminki i pudru. Przerzoczyste zwierzę.

- Wyjdźmy na korytarz.

Objęła mnie, oparła głowę na ramieniu. Odprowadzały nas nieme oczy w zboliałych twarzach. Za drzwiami dodała:

- Niech ci biedni ludzie przypomną sobie, że warto żyć. Tutaj bardzo tego potrzebują.

Czułem się bezradny przy jej bezwzględnej miłości. Podałem się.

- Musisz tu być?

- Jutro wychodzę.

- Uciekajmy stąd, zaraz, ani godziny dłużej. Na szpitalnych ścianach pełno jest blach trumiennych. Przyjrzyj się – zaszła mi drogę, potrącając za ramiona – nie widzisz ich? Tutaj śmierć czuje się najlepiej. Tapetuje się do łóżek i czeka. Pieprzona czarna kochanica.

Długim korytarzem snuliśmy się ku oknu, za którym rozsypany był dzień.

- Wówczas do dworcowego antykwiariatu – zaczęła niespodziewanie – nie weszłam po książki. Byłam przetrącona i wystawiona na odstrzał przez jednego palanta.

- Zaczepił cię drugi – dopowiedziałem. Zlekceważyła uwagę. Była teraz szczęśliwym okrętem przepływającym cieśniną między ścianami zawieszonymi cierpieniem i strachem, których nie zamaluje najlepsza farba i nie zakryją płytki najdroższej glazury.

- Kim jest ta pani w drzwiach? – zapytała.

- Dyżurna siostrą oddziałową.

Podeszła do niej. Słyszałem rozmowę.

- Siostrze, zabieram tego pana do domu.

- Teraz, o tej porze, bez wypisania? – dziwiła się tamta.

- Proszę poczekać do jutra. To tylko jedna noc.

- Był czas, że jednej nocy równano z ziemią całe miasto.

- O czym pani mówi?

- Zabieram tego pana do jego domu.

- Kim pani jest dla chorego?

- On jest zdrowy, a ja ważną dla niego osobą. Jutro przed południem zgłosimy się po rzeczy i dokumenty szpitalne – zarządziła. Z szafki zabrała do plecaka mój zegarek i parę drobiazgów. Zadzwoiła po taksówkę.

Żegnałem się, ledwie ściskając prawie bezcielesne dłonie i zastanawiałem, do którego najczulej tuli się czarna kochanica.

- Panowie... - odwróciła się do chorych – chłopaki... zabierajcie się stąd. Rozejrzyjcie się dobrze, a każdy znajdzie kogoś, kogo warto kochać. Nawet jeśli byłby to tylko pies. Do widzenia.

- Piękne ciało miała ta kobieta pod pielęgnarskim fartuchem – zauważyła w drodze do domu. – Nie wyglądała na taką, która by nie chciała podzielić się tym tortem.

Błady, w bluzie narzuconej na piżamę, wyglądał komiecznie przy opalonej dziewczynynie, której każdy kawałek skóry krzyczał życiem.

- Nie mogłam cię tam zostawić. Nie robi tak człowiek szczęśliwy. Taka teraz jestem.

Uśmiechając się, spukiwałem pod prysznicem resztki szpitala z mojej byle jakiej, szeleszczącej skóry, która przy mocniejszym szarpnięciu mogła się rozpruć. Odnowiony, usiadłem wreszcie przy normalnym stole do zwyczajnej, domowej kolacji. Inka bawiła się rolą gospodyni.

- Chciałem ci powiedzieć, że moim azymutem w czasie szpitalnej wycieczki były słowa trzyletniej wówczas wnuczki, Wiktorii, jakie usłyszałem od niej w dzień po pogrzebie Jana Pawła II: dziadku, ty nie możesz umrzeć, bo ja bym była nieszczęśliwa.

- To ta blondyneczka, z którą widziałam was na rowerach.

- Tak. A miesiąc, może dwa później wyznała: jak dobrze, że ty się urodziłeś, jak dobrze, że my się Kochamy.

- Po usłyszeniu takiego tekstu należy wsiadać na „Tytanika”. - Uśmiechała się kącikami oczu. – Jak dobrze, jak dobrze, że pokochałeś książki, i że czasem chce ci się jeszcze zacząć obcą dziewczynę.

- Powiedz, jak było nad morzem?

- Najpierw chcę wiedzieć, jak dotarłeś do „romantyka”. Ktoś ci go polecił?

- Większość historii, jakie pamiętam, związana jest z miłością. Moja ukochana studiowała medycynę w Poznaniu. Odwiedziłem ją. Po dniu spędzonym z dziewczyną, przekonany o nadzwyczajności tych chwil, wróciłem do małego hoteliku. Sen po takim dniu byłby atakiem starszej amnezji. W kiosku leżała jedyna, osierocona, niewielka książeczka w niebieskiej obwolutce, właśnie jego. Kojarzył się z lekturami obowiązkowymi w liceum, które omijałem. Wiadomo jednak, że zakochani szybko przebaczą i, wierząc naiwnie we wsłaniałość wszystkich i wszystkiego, skłonni są do ryzyka. Taki byłem. Ostatnią kartkę kończyłem czytać w porze śniadania. To był „Lśniąca obłoki”, potem, w 1966 roku, doszli



„Romantycy” i inne jego książki, łącznie z niegdysiejszą lekturą obowiązkową.

- Nie zostaliście razem.
- Nie.
- Żyjecie ze spalenizną w środku.
- Ona już nie.

Kończyliśmy posiłek w milczeniu.

- Teraz twoja kolej – przypomniałem. Musiałem jednak cierpliwie poczekać.

- Książeczkę od ciebie zaczęłam czytać dopiero po paru dniach. Byłam załamana. Nic mi się nie układało na tym wyjeździe. Siedziałam na skraju wydm i częściej zerkałam tu wodzie niż na zadrukowane kartki. Było wietrznie. Ludzie spacerowali brzegiem, słońce toczyło się ku horyzontowi, jeden odważny zdecydował się na kąpiel. Plaża powracał chłopak. Widziałam go wcześniej fotografującego jakieś kamyki, muszelki i coś tam jeszcze na piasku. Momentami wyglądał, jakby składał się z dwóch nałożonych na siebie czarnych parasoli. Tym mniejszym była jego od czasu do czasu rozwiewana czupryna, większym stawała się kurtka. Teraz powracał. Celując aparatem ku trawom, cofał się, idąc ku mnie. Nie odsunęłam nogi. Upadł na wznak, unosząc odrochowato aparat nad głowę. Spojrzył za wyrzutem.

- Byłam zacytana, nie widziałam – kłamałam. – Przepraszam.

- Co to za książka? – zapytał, strzeżując piasek.

- Fajna, o miłości, o morzach i zatopionych w nich ludzkich sercach.

- Pokaż – przeczytał tytuł i nazwisko autora – nie znam.

Obejrzałam aparat, podmuchłam w niego z różnych stron, zerkną ku mnie i dodał:

- Jak fajna, to może poczytamy razem. Na zmianę.

Czytaliśmy po dwie stroniczki. Wzięło nas. Mówiliśmy do siebie językiem książki i jej bohaterów. Przeżywaliśmy knajpiane szaleństwa, miłosne rozstania na mijających się parowcach, dobro serc i cierpienia wojny. A gdy noc zabrała naszym oczom ostatnie światelko z pożółkłej kartki, czuliśmy się sobie bliscy, od zawsze.

Leżeliśmy zagapieni w nieprzeniknionej studni nocy, trzymając się za ręce. Zazgrzytały w pamięci zdania wyrzucane na dworcu. Nienawidziałam wtedy ciebie, wszystkich wokół, łącznie z tymi kilkumastoma dekami starego papieru. Ranę uznałeś za draśnięcie, jak superman. Dzięki.

- Pocałuj mnie – powiedziałam ucepiona trapezu nocy.

- Czekam na głos syreny z białego parowca.

- Właśnie ją słyszałam, zaraz odpływa, nie zdążysz.

Peleryna jego czupryny zakryła mi wszystko. Tak zostało do świtu. Po krótkiej kąpeli znowu czytałyśmy. Ludzie wypelzali z norek i rozkładali swoje życia na wietrznym dywaniku białych ziarenek. Wysokie słońce wycięło z pożółkłej stroniczki ostatnią linijkę: Taganróg – Moskwa – Odessa 1916-1923.

Michał odezwał się cytatem: „Czy nie za mało wycierpiałem, żeby zostać pisarzem?”

Odpowiedziałam po krótkim kartkowaniu: „Mówi pan o chciwości życia. To samo ja teraz czuję, tylko nie umiem o tym pisać.”

Noc, morze, niezwykłość miejsc, zdarzeń i ludzi opisanych przez naszego rówieśnika, świadka tamtego czasu wypełniły nas i przelewały się ciężko z boku na bok jak balast w mocno przeładowanej łodzi. Wcepieni w siebie, zamieniliśmy dzień z nocą. Spóźniony sen rozstawał się z nami, gdy plaża powoli pustoszała.

- Potrafiłbyś sfotografować miłość? – zapytałam, nie oczekując odpowiedzi. W sinawych podkrążeniach pod jego szarzielonymi oczami ucepione były na tysiącach nitek chwile z minionych godzin i literki przeczytanej książki.

Przerwała. Przymknęła oczy, jakby jej historyjka kończyła się na tym jednym, najważniejszym dniu.

- Opowiadaj dalej – poprosiłem. – Znowu jestem nad morzem. To fantastyczne. Tęsknię do niego.

- Nieźle pływam. Przez jakiś czas trenowałałam i ściągałam się. On jest wodnym analfabeta.

- Nauczysz go.

- Wypływałam w morze, a on, biedny, brodził w wodzie po pas i błagalnymi gestami nawoływał do powrotu. Byłam najszczęśliwszą wśród szczęśliwych. Ktoś znowu trochę się o mnie, jak kiedyś mój tato. Tam, na brzegu, miotał się, drżał o mnie kochający chłopak. W wodnym pustkowiu kładłam się na wznak, twarzą ku niebu i, kołysana w dłoni olbrzymia, opowiadałam o swoim szczęściu. Byłam przekonana, że fale z mojej stacji nadawczej poprzez kosmos i satelity docierają wszędzie, nawet do norki najmniejszej myszy. Za któryms jednak razem nie było go na brzegu. Nie czekał na mój powrót z rozpostartym ręcznikiem, żeby ogrzać i przytulić. Przeraziłam się. Po wariacku, beładnie biegałam z miejsca na miejsce. Rozryczałam się. Wreszcie go znalazłam. Leżał skulony z ukrytą twarzą. Czujesz to? Ten chłopak płakał przeze mnie.

- Dlaczego mnie wystawiasz na takie próby? – zapytał, nie wstydząc się pokazać twarzy. – Dlaczego mi to robisz?

- Bo zgłupiałam ze szczęścia! Zrozum to – zgłupiałam ze szczęścia! – krzyczałam, żeby wszyscy słyszeli, nawet morze, las i niebo też.

Skończyła. Zatopiła się w fotel. Z naznaczonymi chemią słońca i słonej wody kosmykami światła na ciemnych włosach, opięta sakwą opalonej skóry wyglądała na osobę o niewyczerpanej energii. Nie otwierając oczu, poszukała dłonią mojej ręki i prawie przez sen, ale bardzo wyraźnie powiedziała:

- Kocham was obydwu... każdego inaczej... jak książkowy Maksymow kochał tamte kobiety...

*Częstochowa, 30. VII – 1. VIII 2008 r.*

## Tadeusz Gieryski

\* \* \*

Gdzie był Wszechświat, kiedy go nie było,  
czy w rękę Boga, czy w głowie Szatana?  
Czy moje życie tylko mi się śniło  
i każde światło,  
każda moja miłość?

## Przedświt

kujawy pola buraczane  
zboża w złotej bieli  
wierzby grusze samotnice  
i dwór Bacciarrellich  
kościół dziad kościelny  
witraże chabrem przetykane  
niebo: gwiazda przy gwieździe –  
Wisła jak srebrny jeździec  
do morza galopem –  
drogi piaszczyste sypki bursztyn  
baba na piasku z chłopem –  
powóz dworski poszóstny  
panienka w niebieskiej sukience  
twarzyczka od mleka bledsza  
i moje oczy otwarte na przestrzał  
zachłanne jak morze  
wilgotne od pędu powietrza

## Stryj

wrócił z lasu  
wprost za kraty  
wyrok ale łaska  
więc żył w kazamatach gdańskich  
jeszcze dużo lat  
aż wreszcie wrócił  
do domu  
chorował stawiął pasjanse  
milczał  
stryjku! – mówiłem  
aa, to ty...  
po iluś tam latach to samo  
stryjku!  
aa, to ty...  
nie wychodził z domu  
nawet z nami  
bał się że go wyprowadzimy  
na egzekucję

potem zmarł  
i już się nie bał

\* \* \*

o, Boże, tak przyłgnąłem do życia  
że nic poza nim nie widzę  
choć obecny mój żywot  
to nie Polinezja  
a moje lata są jak  
długa trzeszcząca drabina  
po której się wciąż wspinam  
nie wiedząc po co i dokąd

## Elżbieta Hurnikowa

„nie potrafię być tylko człowiekiem”

Natura w wierszach Haliny Poświatowskiej

Swój debiutancki zbiór wierszy Halina Poświatowska opatrzyła tytułem *Hymn bałwochwalczy*<sup>1</sup>. Tytuł to znaczący, nawiązuje bowiem do gatunku literackiego o bogatej tradycji, występującego w antyku i innych kręgach kulturowych. Hymn był utworem o charakterze podniosłym, sławiącym bóstwo, bohaterskie czyny, idee, w późniejszych czasach wyrażającym uczucia religijne, ale też uwznioślającym doznania i sprawy codzienne; w wieku XX służył głównie zabiegom stylizacyjnym<sup>2</sup>. W tytule zbioru Poświatowskiej hymn pełni funkcję metafory określającej postawę poetki wobec świata i właściwą jej hierarchię wartości, której będzie wierna w dalszej twórczości. Najważniejsze miejsce zajmuje w owej hierarchii miłość - do mężczyzny, do świata przyrody, do życia - definiowana na różne poetyckie sposoby. Poetka ustanawia swoją własną „religię miłości”, odwołując się do znaczeń religijnych i formuł modlitewnych. W jednym z wierszy z tego „bałwochwalczego” tomu pisze:

*modlę się do ciebie*

*jaka to religia  
w której czci się usta  
wyjętego boga przedświtów  
ach religia  
wspaniali bluźniercy  
jesteśmy sobie  
zamkniętym czworokątnym światem*<sup>3</sup>

W dążeniu do szczerości wypowiedzi i eksponowania życia miłosnych miała Poświatowska poprzedniczkę w osobie Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, którą jej siostra, Magdalena Samozwaniec, nazwała „dewotką miłości”. Autorka *Niebieskich migdałów* we wczesnych utworach ujmowała miłość w kategoriach religijnych, jak świadczą choćby wiersze opatrzone tytułem *Modlitwa*; jeden z nich zaczyna

1 H. Poświatowska, *Hymn bałwochwalczy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1958.

2 *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*, PWN, Warszawa 1984, t. 1, s. 368.

3 Wiersze cytuję (o ile nie zostało podane inaczej) wg wydania: H. Poświatowska, *Wszystkie wiersze*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007. Cytowany wiersz, s. 40. W dalszym ciągu numer strony podaję bezpośrednio po cytacie.

się od słów: *O pocałunku, któryś jest w niebie*<sup>4</sup>. Wśród utworów Poświatowskiej również jest wiersz o miłości zatytułowany *Modlitwa* (s. 100). Każda z poetek znalazła jednak swoje własne środki wyrazu i stworzyła indywidualny model poetycki. Analogię można dostrzec przede wszystkim w randze, jaką obie nadają miłości – pełnej, wszechogarniającej, zmysłowej. Stanisław Grochowiak pisał o debiucie Poświatowskiej: „Pierwszy tom poezji, który wydała, nazywał się *Hymn bałwochwalczy*. Zawarły się w tym tytule tęsknota, zachwyt i posepna samowiedza. Jej miłość do życia miała w sobie coś istotnie religijnego, była to przecież religia niedozwolona, z góry skazana na niewdzięczność i brak łaski, religia bałwochwalcza. Oto kobieta, której każde żywsze poruszenie serca groziło śmiercią, wielbiła miłość niepokromioną, zmysłową, cielesną<sup>5</sup>. To miłość nadaje sens życiu – taką prawdę głosi autorka *Hymnu bałwochwalczego* – w tym zbiorze i kolejnych<sup>6</sup>. W wierszu z tomu *Jeszcze jedno wspomnienie*, wydane już po śmierci poetki, prawda ta wyrażona została szczególnie dobitnie: kiedy nie ma miłości – *nie ma zmiłowania / nie ma odkupienia / nie ma nas / nie ma / nie ma / nie ma* (s. 542).

Intensywność, z jaką przeżywana jest tu miłość, wynika także z poczucia kruchości istnienia; całą twórczość Poświatowskiej przenika myśl, że *żyje się tylko chwilę* (s. 575). Ratunkiem przed tą świadomością jest więc ze światem przyrody. W jednym z listów do Jana Niwińskiego, któremu poetka skarżyła się na swój los: „[...] tacy jak ja, szamocą się bezsilnie – biją głową o mur – i nie mają nadziei, nie dopuszczają żadnej nadziei [...]”, dopisany został wiersz (według autorki „bardzo słabiutki wierszyk”), zaczynający się od słów: *Jak łatwo / przytulić policzek do sosny / i już nie płakać [...] Drzewo uspakaja / jak palce matki*<sup>7</sup>. Przyroda staje się sferą bliską, z niej płynie życiodajna siła. [...] ciemna jest druga strona życia, głosi Poświatowska w jednym z utworów, bo po tej stronie – *tutaj są głosi ptasie* (s. 417). Poczucie przynależności do świata natury ratuje, podobnie jak miłość, przed całkowitym unicestwieniem. Fascynacja owym światem objawia się już w pierwszym zbiorze, „bałwochwalczo” sławiącym różne formy przyrodnicze,

4 M. Pawlikowska-Jasnorzewska, *Poezje zebrane*, oprac. A. Madyda, wstęp K. Ćwikliński, Toruń 1993, t. 1, s. 74

5 S. Grochowiak, *Krzywda*, (w:) „*Ja minę, ty miniesz...*” *O Halinie Poświatowskiej wspomnienia, listy, wiersze*, zebrała i opracowała M. Pryzwan, Wyd. „Domena”, Warszawa 2000, s. 78 (pierwotny: „Kultura” 1967 nr 44).

6 *Dzień dzisiejszy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1963; *Oda do rąk*, „Czytelnik, Warszawa 1966, *Jeszcze jedno wspomnienie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1968 (przyg. przez Jana Zycha i Małgorzatę Porębską).

7 Cyt. ze: „*Ja minę, ty miniesz...*”, s. 109-113.

jak choćby pospolite ptaki: *wróble to arcydobrzy katolicy / wierzący we wszystko / w objawienie w słońce / w pływające liście / one nie kłamią / nie kradną* (s. 57). Stworzeniem, które poetka sobie szczególnie upodobała, jest kot, „bohater” wiersza pod tym tytułem: *ja mam pana boga w futrze / kiedy się przeciągam wzdłuż / czuję jego palce / wyprężone na grzbiecie* (s. 54). Kot pojawia się - w różnych funkcjach - w innych utworach tego tomu i kolejnych; np. w zbiorze *Dzień dzisiejszy znajdują się Rekolekcje dla kota* (s. 146), w *Jeszcze jednym wspomnieniu kot, który posiada metafizyczne futro* (s. 418).

Fascynacja naturą wiąże się z wiarą w istnienie analogii pomiędzy światem ludzkim i formami przyrodniczymi: zwierzęta, ptaki, rośliny, owady służą wyrażaniu różnorodnych treści i refleksji przenikających lirykę Poświatowskiej. To poprzez porównania do cech rozmaitych stworzeń oraz do zachowań obserwowanych w otaczającym świecie wzbogacany jest temat miłości, erotycznego pragnienia. Cytowany wyżej wiersz, stawiający pytanie o religię czcząca *boga przedświtów*, rozpoczyna się od znamienitych porównań: *jestem dla ciebie czula / jak dla pszczół / cierpki zapach kwiatu / jestem dla ciebie dobra / jak dla zmęczonych skrzydeł ptaka / rozchwiana gałąź [...]*.

Ptaki i zwierzęta pojawiają się w funkcjach motywów autokreacyjnych, jak lasica: *jestem nią błyskam biało w zachwycie nad sobą płowym grzbietem ocieram się o pieszczotę traw. lasica – podłużny płomyk wychynęła z krzaków i szalonym tańcem powiedziała istnieniu o sobie*. (s. 72). Motyw ten, współtworzący refleksję nad formami istnienia, powróci w rozbudowanej metaforze w tomie *Oda do rąk*: *nie potrafię być tylko człowiekiem / jest we mnie sploszona mysz / i lasica wążąca zapach krwi* (s. 341).

Odniesienia do natury i rządzących nią praw odają kondycję podmiotu wierszy. Ptak, obecny już w *Hymnie bałwochwalczym*, stanie się jedną z metafor wyrażających zarówno radość istnienia jak i świadomość nieuchronnej śmierci: *ptaku mojego serca / z opuszczonymi skrzydłami / nie szarp się / nakarmię cię ziarnem śmierci / zaśniesz* (s. 516).

W oparciu o świat przyrody wyraża też poetka refleksje na temat tworzenia. Motywy autotematyczne obecne są w jej twórczości od początku, ale w utworach zebranych w tomie *Jeszcze jedno wspomnienie* szczególnie wyraziście ujawnia się postawa Poświatowskiej wobec poetyckiego tworzywa. W jednym z nich wyznaje: *myślę że jest trudno pisać wiersze* (s. 373). Poczucie odpowiedzialności za słowo wyraża poetka, odwołując się do bliskiego sobie świata: *oswajanie słów / jest trudniejsze / niż oswajanie tygrysów* (s. 372). Wysokie wymagania, jakie stawiała sobie autorka *Hymnu bałwochwalczego*, zdecydowały o jej warsztacie poetyckim; u jego podstaw leży

świadomość, jak trudny i zobowiązujący jest proces twórczy.

W jednym z ostatnich wierszy zamknęła Poświatowska ważne przesłanie, zespalające wartości, jakim była wierna od początku:

*trzeba nam dużo prostych słów  
jak  
chleb  
miłość  
dobroć  
aby ślepi w ciemności  
nie zgubili  
właściwej drogi* (s. 618)

W muzeum Haliny Poświatowskiej – Domu Poezji przy ul. Jasnogórskiej są fotografie, które przedstawiają poetkę dotykającą kwitnącą gałąź i tulącą do siebie kota.



Fot. Leszek Pilichowski

## Bo życie nas wykrusza...

Z Tadeuszem Chabrowskim, polskim poetą mieszkającym w Nowym Jorku, rozmawia Marian Panek

*Jak wpływa dzieciństwo i lata młodzieńcze na późniejsze życie, jak staje się mocnym egzystencjalnym śladem w twórczym życiu? Jak formułował się w Panu poeta? Jak wyglądał świat w latach czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego stulecia?*

Głęboko sięgamy wstecz... Lata czterdzieste, czyli okres wojny, był dla mnie gwałtownym doświadczeniem, ze względu na to, że rodzice mieszkający w mieście, nie byli w stanie nas, mnie z bratem, po prostu mówiąc, wykarmić. Dlatego w czasie okupacji ja zostałem odesłany do rodziny mojej matki, do babki, i mieszkaliśmy pod Częstochową w małej wiosce Niżankowice. Oczywiście, jedzenia na wsi raczej nie brakowało. Robiliśmy tam różne rzeczy, pasaliśmy owce, gęsi, zapoznałem się z życiem rolnika, który ciężko pracował na chleb. Musi orać i kosić. W wiosce nie było wody, bo jedyna studnia artezjska popsuta się w 1939 roku, więc wodę trzeba było dowozić z Warty w dużych beczkach. Trzeba było tę wodę oszczędzać. Wykorzystywano deszczówkę, która odgrywała ważną rolę. Były takie balie, do których woda ściekała z rynien, poiono nią potem zwierzęta, prano w niej bieliznę. Były okresy trudne, zwłaszcza przed końcem wojny, kiedy to czterech moich wujków poszło do partyzantki. W wielu wypadkach musiałem więc być na gospodarstwie sam, już jako sześciolatek. Doznawałem wtedy przędziwnych lęków, strachów. Wszystko wprawiało mnie w różnorodne emocje – zwłaszcza nieznaną dźwięki. Musiałem jednak to wszystko przeżyć. Przyroda silnie zanotowała się w mojej pamięci. Między innymi później napisałem takie tomiki, jak „Zakwitną wieczorem” – to tomik o kwiatach, czy chociażby „Lato w Pensylwanii”, który odnosi się do mojego pobytu w Stanach Zjednoczonych i zaobserwowanej tam przyrody. Również „Zielnik Sokratesa” polegający na tym, że opisywałem dosyć szczegółowo poszczególne chwasty – rośliny, które rosną pod płotem. Był to ogród Sokratesa, a te

chwasty były upersonifikowane, np. oset czy pokrzywa miały swoje symboliczne przeżycia, i te zielska i bady-le przemawiały własnym egzystencjalnym językiem. Z dzieciństwa pamiętam wyraźnie żółty kwitnący lubin, niebieskie chabry, wędrowki po lesie w poszukiwaniu grzybów. To wszystko było mi bardzo bliskie, a równocześnie zbliżało do przyrody, która do dzisiaj niesamowicie na mnie żywo oddziałuje. Lata powojenne też nie były łatwe. Ponieważ byłem na wsi, tam nie było szkoły, mój wiek skazywał mnie do klasy wyższej, i jak przyjechałem do Częstochowy, zapisany zostałem od razu do czwartej klasy. Tu nagle miałem różne problemy związane z czytaniem. Konfrontacja z resztą klasy była trudna – umiałem na początku sylabizować słowa.

Miałem specjalne korepetycje, żeby wyrównać poziom i dogonić kolegów. Stało się to w siódmej klasie, a z matematyki byłem jednym z najlepszych. Potem sytuacja się odwróciła i skłonności językowe zaczęły dominować.

*Jak wyglądało życie w Częstochowie? Czym się Pan zajmował jako młody człowiek? Jak wyglądała w tych czasach Jasna Góra?*

Wtedy byłem bardzo mocno zaangażowany we wszystkie sportowe wyczyny, więc piłka nożna, siatkówka, chodziłem do Liceum Sienkiewicza. Moja matka była osobą bardzo religijną. Byłem oczywiście ministrantem. To trochę zmieniło moje życie. Mieliliśmy tam własne kółko ministranckie. Trzeba było rano wstać, iść na Jasną Górę, służyć do mszy świętej, przy okazji poznawałem inny odcień życia. Mieszkaliśmy przy ulicy św. Barbary 13, oddziaływanie Jasnej Góry było mocne. Była zawsze możliwość porozmawiania z tym i innym z ojców. Można było się w pewnych sprawach poinformować. To było stałe oddziaływanie i to potem skutkowało tym, że wielu kolegów zgłaszało się do seminarium i nowicjatu, w konsekwencji przyszła i na mnie kolejka.

*Jakie były świadome początki Pana twórczości poetyckiej? Czy bycie redaktorem miesięcznika „Jasna Góra” wspierało pisanie poezji?*

Mocnym uderzeniem dla mnie było, że profesor Giergielewicz z Uniwersytetu Pensylwańskiego przysłał



Fot. Leszek Piłichowski

do mnie osobę, żebym się do niego zgłosił, bo zauważył moje teksty w miesięczniku „Jasna Góra”. Był to moment decydujący, bo pojawiła się możliwość wydania pełnego ich zbioru. Potem pojawiły się recenzje, na ogół przychylne, dobre czy znakomite. Zostało więc już coś zbudowane i wtenczas postanowiłem pisać dalej. Miałem też zaplecze w innych wierszach przywiezionych z Polski. Profesor po wydaniu tomiku „Lato w Pensylwanii” zaproponował mi, bym poruszył poetycko żywoty świętych w sposób unowocześniony. Skomentował również moje wiersze, że jest w nich za dużo przymiotników, a za mało rzeczowników. Wtenczas sobie uświadomiłem, że to życie klasztorne zmusza mnie do używania przymiotników i ich przerostu, a prawdziwe życie jest poza. Rzeczowniki to oczywiście symbole tego prawdziwego życia, samego życia, bycia w jakimś zawodzie, pracy, bycia na uczelni. W pewnym momencie, po siedemnastu latach bycia w zakonie, wystąpiłem z niego, by poszerzyć swój horyzont doświadczeń. Nie zrezygnowałem ze studiów akademickich i wybrałem kierunek „religia a współczesna kultura”. Bardzo mi to odpowiadało, bo kontynuowałem to, co robiłem w seminarium, ale poszerzenie tych studiów było dość dramatyczne, bo był nacisk na filozofię współczesną i na kulturę w sensie ogólnym, w przeciwieństwie do klasztoru, gdzie dominowała teologia w wydaniu tomistycznym. Tam się spotkałem również z pastorami czy zakonnikami z kościoła katolickiego. Była to konfrontacja z nową wiedzą. Wkrótce otrzymałem dyspensę od papieża i mogłem wziąć ślub kościelny. To znormalizowało zupełnie mój stosunek do Kościoła i nie miałem żadnych kompleksów, że wystąpiłem z zakonu. Po prostu była to dla mnie kontynuacja tych samych wysiłków, które czyniłem przedtem, tylko w szerszym poziomie i w innym zakresie.

*Co to znaczy dla Pana bycie poetą? Czy jest to rodzaj specyficznej misji? Czy ma Pan, poczucie pewnej misji, czy pisanie to rzecz naturalna?*

Wydaje mi się, że coś w tym jest. Mianowicie, po wystąpieniu z zakonu musiałem poświęcić dość dużo czasu, by zaadaptować się do życia świeckiego. Przede wszystkim nie miałem żadnego zawodu. To był trudny czas, bo musiałem po prostu zarabiać pieniądze na siebie i rodzinę. Nie miałem żadnych przygotowań do jakiegokolwiek zawodu. Co jakiś czas wpadałem w przysłowiowe nowe buty i musiałem

umieć w nich chodzić i umieć wychodzić z różnych tarapatów życiowych. Uczucie, że przecież pisałem w zakonie i wyszedłem z zakonu, żeby pisać, ciągle mnie wewnętrznie prześladowało. W końcu doszedłem do wniosku – skoro podjąłem tak dramatyczną decyzję w swoim życiu, to musi mieć jednak ona jakiś sens, i zabrałem się ponownie do pisania. Po kolei można to sprawdzić właśnie po datkach ukazywania się tomików. Pojawiały się nowe wiersze, które zaczęły, powiedzmy, zobowiązywać mnie do tego, aby te wszystkie ambicje życiowe, które miałem w sobie, ukierunkować i znaleźć dla nich przekaz. Pojawiały się nowe tomiki, takie jak „Drewniany rower”, który został wydany na emigracji w Nowym Jorku przez Polander Press w 1988 roku, a potem odkryłem, że ja prowadzę nowy styl życia: jestem małżonkiem, ojcem itd. Najpierw pojawiła się w moich wierszach liryka, erotyka, to spowodowało, że pojawił się tomik „Panny z wosku”. Zaskoczyło mnie, iż później był jeszcze dwukrotnie wydawany przez Norbertinum z Lublina. Potem napisałem tomik, który w Częstochowie przeszedł bez echa, chociaż był to arkusz poetycki o Częstochowie, „Miasto nieba i ziemi”. Wydawcą było Gaude Mater i wydawało mi się, że Częstochowa i Jasna Góra zareagują bardziej żywo. W tych wierszach wróciłem do mojego dzieciństwa, do pobytu w seminarium i chciałem zobaczyć miasto w mocnym ujęciu. To znaczy, że to miasto jest dla nieba i dla ziemi. Mam nadzieję, że ten tomik zostanie jeszcze raz odczytany i wiele wierszy tam pomieszczonych dotrze do czytelnika. Następny zbiór wierszy to „Zakwitną wieczorem”, o kwiatach, mówiący o kontaktach z naturą, wypływający z dzieci-



Fot. Leszek Pilichowski

# POEZJA

stwa. Potem, w 1996 roku, ukazał się tomik dwujęzyczny „Galaż czasu” wydany na KUL-u w Lublinie. Tam pojawia się problematyka związana z piśmiennictwem księdza Piotra Skargi i jego „Żywotów świętych”. Unowocześniełem przynajmniej dwunastu świętych, którzy zaistnieli u mnie inaczej, jak np. św. Eulalia czy św. Hieronim i wielu innych świętych na co dzień niespotykanych, ale wywodzących się z klasycznego tekstu Skargi. Potem powstał „Kościół pod słońcem”, wydany również w Norbertynie, w 1998 roku, w którym były trzy zasadnicze rozdziały: zmyślanie siebie, zmyślanie Boga i zmyślanie świata. Ten tomik był pierwszym ostrym zderzeniem się z tematami zasadniczymi, z metafizyką, z życiem codziennym i próbą konfrontacji z życiem wewnętrznym, nadprzyrodzonością i z życiem, jakie jest. Potem powstał „Zielnik Sokratesa”, wydany w 2005 roku w Lublinie na Akademii Rolniczej, ważny dla mnie dlatego, iż czytałem dość dużo tekstów filozoficznych. Powróciłem do Platona, Augustyna, Kierkegaarda, Pascala, Kartezjusza. Później, o dziwno, pojawiły się „Muzy z mojej dzielnicy” – czyli wiersze liryczno-erotyczne. Były to nowojorskie muzy z Brooklynu. Przedstawiłem w nich również swoje spostrzeżenia, co można zobaczyć na ulicach. Następny tomik to „Dusza w klatce”, wydany w Częstochowie przez Gaude Mater. Okazuje się, że piekło taki przekładaniec, bo znowu wróciłem do inspiracji związanych z filozofią Kartezjusza i jego dzieła „Namiętności duszy”, po którego przeczytaniu rozpocząłem pisanie swojej „Duszy w klatce”. Kartezjusz w swym małym traktacie rzeczywiście poszukiwał miejsca w człowieku, w którym można umiejscowić duszę, gdzie się ona znajduje. Ja, idąc jego tropem, podobne poszukiwanie robiłem. Najważniejsze w tym tomiku są ostre dialogi między ciałem a duszą.

Dla ciała dusza jest taką matką, która to ciało chce doprowadzić do porządku, przywołać do wyższych celów. To jednak ciału nie jest na rękę, bo ciało to również zmysły i ma zasadniczy kontakt ze światem i rzeczywistością. Natomiast dusza ma pretensję do ciała, że nie zezwala jej na wyższe loty, że ciągle ją obciąża. To są osie tych dialogów, postawionych na ostrzu noża. Po latach temat mniichów powrócił. Był we mnie od dawna, ale zepchnięty w czasowy niebyt. W pewnym momencie pojechałem do Austrii, do swojego przyjaciela, który prowadzi wykłady na Uniwersytecie Wiedeńskim z literatury polskiej. Nagle wyskoczył ten temat. On odwodził mnie o tego tematu, podobnie jak inni koledzy. Bali się bowiem, że podejść do tematu ostro i zbyt krytycznie. Mnie o co innego jednak chodziło. Mnie moje lata już dogoniły, a nawet przegoniły. Dla mnie było zasadniczym pytaniem, jak ja, gdybym nie wystąpił i ciągle pozostawał w klasztorze, kim de facto bym był. Ten tomik zasadniczo o tym mówi. Jeżeli ja bym nie wyszedł z zakonu, byłbym tu już siedemdziesięcioletkiem, teologiem, który ma jakieś problemy z diabłem, który się pyta sam siebie, co jeść, by się zbawić, który ciągle się zastanawia, co to jest cnota, który chce definiować, co to jest teologia, jak czynić cuda, bo przeżywając przez tyle lat w klasztorze, taką umiejętność powinienem posiadać. Jeżeli lekarz, chirurg, praktykuje przez wiele lat swój zawód, praktycznie dokonuje tych cudów, przedłużając operowanym życie. Jak ja, jako mnich, mógłbym robić to samo. Zastanawiam się również nad problemem, co to jest ćwiczenie duchowe, czy sumienie przeora jest nieomyślne, jaki jest mój stosunek do diabła, którego widzę lub doświadczam. Zadawałem sobie takie elementarne pytania, które zmuszają, by na nowo zastanowić się nad teologią określającą nasze życie.

To była pozycja, z której wychodziłem, pisząc wiersze do tomiku „Mnisi, czyli nierymowane strofy o cnotach”.

*Przeżywa Pan od lat sześćdziesiątych w Stanach Zjednoczonych, w kraju różnorodnych przemian kulturowych. Czy postęp cywilizacyjny służy kulturze, czy jednak ją splyca?*

Pobyt w Stanach Zjednoczonych w pewnym momencie uświadomił mi, że zwłaszcza Nowy Jork jest taką platformą, lekko wniesioną nad inne platformy różnych społeczności czy narodów. Z tej wysokości można łatwiej i dogłębniej obserwować różne zjawiska. Czytając codziennie „New York Times” mam tam bardzo szczegółowe artykuły o jakimś kraju, który ledwo można



Fot. Leszek Piłchowski



znaleźć na mapie. Te informacje są podane bardzo fachowo. Równocześnie mam dostęp do różnorodnej sztuki teatralnej, wielkich wydarzeń na Broadway. Codziennie widzi się tam nie tylko Stany Zjednoczone, ale cały świat globalnie. Czuję się, że Nowy Jork jest stolicą świata, która uczestniczy we wszystkim, więc jest to ta platforma, która stwarza inne perspektywy. Wielokrotnie się tym szczyliłem, że widziałem świat bardziej globalnie. Tam poznałem poezję anglosaską w bardziej klasycznym wyborze. Śledziłem, co Barańczak tłumaczył, były to często publikacje dwujęzyczne. Umożliwiało mi to porównanie. Generalnie do tej pory największe wrażenie robi na mnie poezja z okresu końca lat pięćdziesiątych i początku lat sześćdziesiątych, to znaczy: Grochowiak, Harasymowicz, Przyboś, Herbert, Szymborska, Koziół, również mam prawie nabożny stosunek do Różewicza, dlatego, że to, co Przyboś zalecał jako teoretyk poezji, „najmniej słów”, to w życiu wprowadzał Różewicz. W tych latach czytałem namiennie Różewicza, żeby się tej prostoty nauczyć. Wiedziałem, iż uwewnętrznianie się „dzikim powojem poetyckim” daleko nie zajdę, więc prostota powinna być moim narzędziem w twórczości. Wracając jednak do pana pytania, to Ameryka jest dziwnym krajem, że wybór źródeł, z których chce się korzystać, jest niesamowity. Decydują czasami czy zwykłe warunki, w których się żyje. Ja, zmuszony warunkami, w których egzystowałem, korzystałem tylko z niektórych możliwości. Żyłem na ogół w środowisku polonijnym. Żyłem przede wszystkim w środowisku ojczyzny polszczyzny, ale zainteresowałem się amerykańskim poetą, nazywa się Edgar Masters, napisał poemat „Umarli ze Spoon River”, który opowiada o jego poszukiwaniach swoich źródeł, wybiera się więc do miejscowości, z której pochodził, ale nie spotyka znajomych, wybiera się więc na cmentarz i na cmentarzu spotyka na grobach znajome nazwiska, więc pisze poetyckie małe portreciki, podobnie jak ja to robię, pisząc małe portreciki mnichów. On swoją książką przeszedł do historii literatury.

*Czy tłumaczono Pana wiersze na język angielski? Jak postrzega Pan te tłumaczenia?*

Jeżeli moje wiersze są tłumaczone, ja bardzo często dołączam się do tłumacza i przybliżam mu swoje założenia i sensy poetyckie. Ostatnio tych okoliczności jest więcej. Miałem też dwie publikacje w języku węgierskim, w piśmie literackim, a jest również propo-



Fot. Leszek Pilichowski

cja wydania wyboru wierszy w tym języku. Również w tym roku inny wybór wierszy chce opublikować amerykańskie pismo literackie. Wiem z internetu, że są tłumaczenia moich utworów w języku hiszpańskim, niemieckim, a również w języku litewskim. Ostatnio myślę, żeby zająć się prozą. Mam taką potrzebę, by opisać swój pobyt w klasztorze i wyrzucić to z siebie.

*Może teraz porozmawiamy o Częstochowie. Jak postrzega Pan życie w takim mieście, jak nasze miasto, o różnych kontekstach kulturowych? Co jest w nim dobre, a co złe?*

Ja jestem niestety tylko normalnym turystą w tym mieście. Jestem zafascynowany jego rozwojem. Biegam po ulicach, na których się wychowałem, widzę wielką różnicę. Wbija mnie to w dumę, że jednak w porównaniu, co to było, a co to teraz, jest bardzo na plus, a miasto systematycznie rozwija się, jest ciekawe. Byłem bardzo zaskoczony, uczestnicząc w „Jurajskiej Jesieni Poetyckiej”, że jest tu rozbudowane środowisko literackie, może nie tak jak w Lublinie, bo tam jest naprawdę z kim rozmawiać. Tu również odbywały się ciekawe dyskusje. Częstochowę trochę na nowo odkrywam. Jest tu pismo „Aleje 3”, są różne dzienniki, jest Radio Jasna Góra i diecezjalne. Odkryłem, jeżdżąc z kolegami do Janowa, Złotego Potoku, że okolice Częstochowy mają nowe fabryki, zakłady, z wyglądu dość nowoczesne. Będąc w Częstochowie odwiedzam swoje liceum im. H. Sienkiewicza, odwiedzam kolegów na Jasnej Górze, jest ich coraz mniej, bo życie nas wykrusza. Tak w sumie wygląda wszystko.

*Dziękuję serdecznie za rozmowę*

ireland.pl (2)

## Miss hrabstwa Cork

Adam Key-Królikowski

W którąś sobotę lata przysiadłem w Cotter's Pub, na długiej ustawionej przed nim ławie, nad pierwszą zamówioną tego dnia szklanką pożywnego guinnessa. Była już ósma wieczór lub trochę po. Tej nocy, nieopodal w Club Chléire, miał się odbyć koncert muzyki irlandzkiej, zamierzałem się więc tam wkrótce udać. Teraz oto jednak mą uwagę przykuł pewien, nieprawdopodobnie wręcz urzekający widok. Po lewej stronie pubu, przy stoliku, siedząca w towarzystwie kilku osób, ujrzałem bowiem wprost anielsko piękną dziewczynę. Jej uroda to był absolutnie inny kosmos – całkiem z innej parafii. Była srebrnowłosa, „bielszy niż śnieg biały skarb jej zębów, usta jej czerwieńsze niż czerwień skóry partyjskiej” (Táin), a „na jej głowie gwiazdny diadem” i „kwiat jabłoni w war-koczu” (Yeats), „jej stodka pierś w zwiewnej sukience”, a gdy spogląda „gwiazd blask w jej oczach drży” (Joyce). Po kwadransie towarzystwo jednak wstało i oddaliło się w stronę Cluain Mara, czyli najszykowniejszego hoteliku na wyspie. A Srebrnowłosa wraz z nim. Wish you were here – pomyślałem, zamawiając kolejną szklankę guinnessa.

Posiedziałem w Cotter's Yard jeszcze chwilę, próbując wrócić do zarzuconej kontemplacji magicznej luny słońca, które chyliło się coraz niżej nad Mizen Head – najbardziej wysuniętym na zachód krańcem Irlandii. Wreszcie około dziewiątej wstałem i udałem się do Club Chléire. Ten pół-pub Klub Clear, zwany też krótko An Club, mieści się w niedużym kamiennym domku u podnóża skalistego masywu w zatoce portowej. Wszedłem zatem do owego klubu i ustawiłem się by zamówić piwo, gdyż ludzi zeszło się już trochę. Obok mnie stała w kolejce piękna, młoda Włoszka, brunetka. W ferworze ogólnego luzu spytałem ją skąd jest.

– Z Rzymu – odpowiedziała natychmiast.

– Czy to jest gdzieś w Europie? – zapytałem, po czym uczułem zaraz w boku jej łokieć, zobaczyłem w uśmiechu jej lśniące białe zęby i wzięwszy swą szklankę guinnessa poszedłem szukać miejsca.

Wkrótce sala zapelniła się tak, że ostatnie wolne krzesła, które zostały przy moim, wciśniętym w róg obok sceny stoliku, zajęły jakieś dwie, będące w średnim wieku kobiety. Okazały się one jednak bardzo sympatyczne: jedna była pół-Hiszpanką, druga – Mary, Irlandką, bogatą farmerką z Ballydehob. Za kwadrans dosiedli się ich mężczyźni: narzeczone „Hiszpanki” – łysy i wyglądający jak korsarz Walij-

czyk, oraz mąż Mary – Pat. Ja sam siedziałem na krótkiej ławie, oparty plecami o ścianę, dysponowałem więc wygodniejszym miejscem. Koncert rozpocząć się miał o dziesiątej, na kilka minut przed nim ścisik był już jednak tak wielki, że prawie nie sposób było przejść. Zanurzony w rozgwarze sali i zajęty rozmową z sąsiadkami, nie zauważyłem też niemal wcale momentu, w którym do naszego stolika, zawołany przez nie rękami, jeszcze ktoś przybył. Wszystko odbyło się nad wyraz szybko i zmienna. Obok mnie na ławce usiadła... Srebrnowłosa.

– To jest Tanya – powiedziała jej ciotka, Mary – ona jest bardzo piękna. Jest Miss hrabstwa Cork.

Od tej chwili nie pamiętam już wszystkich zdarzeń jasno i wyraźnie. Srebrnowłosa okazała się być całkiem równą i serdeczną dziewczyną – studentką anglistyki w Oslo, która po powrocie ze studiów zamierzała podjąć pracę jako nauczycielka w szkole z trudną młodzieżą. Zapytałem ją, czemu zawdzięcza swoje słowiańskie imię. Nie wiedziała nawet, że jest ono słowiańskie, spytała więc jakiego imienia jest skrótem. Tanya to zdrobnienie od Tatiana – wyjaśniłem jej. Była to nieomal wiadomość jej życia! Zaraz też kazała przynieść nam wszystkim piwo.



South Harbour, czyli Zatoka Południowa wyspy Cape Clear. (Fot. A. Key)

– Dla mnie pintę guinnessa i dla Adama to samo – zamówiła Tanya.

Potem, gdy sama nie mogła więcej pić, zamawiała już tylko „dla Adama”. Nie pamiętam dokładnie, ile mi wówczas postawiła pint, obliczam jednak, że chyba cztery (pinta mierzy dwie szklanki, co równa się 0,6 litra). Ona zdołała wypić tylko dwie i pół pinty. To jednak wystarczyło, że – jak zauważyłem mile zaskoczony – około pierwszej Tanya bezwolnie usnęła mi na ramieniu. Koncert dobiegał już końca – wybrzmiał, zniknął gdzieś w tle. Wkrótce zabrano i Tanyę, zeszła bowiem zupełnie, a towarzystwo pożegnało się ze mną także dość mocno niewyraźnie.

Po drugiej opuściłem więc klub, wracając na ranny odpoczynek kamiennym nabrzeżem South Harbour, chłonąc jeszcze cudowną magię tej wrześnieowej, gwiaździstej nocy. O dziwo, ustanowiony właśnie rekord guinnessa nie wpłynął na mnie ujemnie – czułem go tylko trochę w nogach, myślą jednak nie mogłem się wciąż oderwać od wzniosłej, zachwycająco upojonej, lektury książki nocnego nieba. A nazajutrz rano, w tym samym miejscu nabrzeża, spotkałem piękną Włoszkę poznaną wczorajszego wieczora. Uśmiechnąłem się do niej, lecz ona była teraz bardzo smutna.

*c.d.n.*



(tor)

## Piórnik

Zbislav Janikowski

*- Niech podniesie rękę ten, kto nigdy nie chodził do szkoły – nie widzę.*

*- Niech podniesie rękę ten, kto nigdy nie miał piórnika – nie widzę.*

Ciężka uczniowska teczka, taszczona w rękę a właściwie prawie ciągnięta po ziemi lub równie ciężki noszony na plecach tornister, mieściły wiele potrzebnych w szkole i równie dużo w ogóle niepotrzebnych przedmiotów. Gdy wszystko nie mogło się pomieścić, wtedy część nawet najpotrzebniejszych rzeczy pozostawała w domu lub na półeczce pod blatem szkolnej ławki – bo jak uczeń w tamtych czasach zajął miejsce w szkolnej ławce, to siedział na nim konsekwentnie, czasami nawet wtedy, gdy koledzy awansowali i chodzili do wyższej klasy. Ale nigdy nie zapomniał zabrać ze sobą piórnika. Uczeń bez piórnika stawał się uczniem niższej kategorii, klasową a nawet szkolną zakałą i pośmiewiskiem, można nawet dopuścić twierdzenie, że przestawał być uczniem. Był gorszy, niż przysłowiowy żołnierz bez karabinu. W żadnym zdrowym umyśle nie mogła nawet zaświtać myśl o uczniu bez piórnika, no to teraz ruszmy głową, poruszmy pokłady pamięci, poszukajmy w niej...

Prawdziwy porządny piórnik był drewniany, a służył do... Właśnie, do czego służył, bo przecież wiadomo, że nie tylko jako miejsce przechowywania i transportowania obsadek (czyli pióra), ołówka, ewentualnie kredek, gumki „myszki”, temperówki do ołówków i czegoś tam jeszcze. To dziwne „coś tam” była to najczęściej plastelina, wyjątkowe paskudztwo, śmierzdziało to-to starym olejem, brudziło i plamiło ubrania, zeszyty, książki, ławki szkolne i oczywiście piórnik, nie mówiąc o tym, że cała zawartość piórnika oblepiona była tą tłustą masą, nawet ostrze żyłkowej temperówki nie było wolne od grudek plasteliny i nie nadawało się do strugania ołówków. A sam piórnik potrafił być albo zwykłą drewnianą skrzyneczką (model męski), albo zdobną szkatułką, istnym dziełem stolarsko-snycerskim (model dziewczyński).

Na marginesie winien jestem Szanownym Czytelnikom a szczególnie tym najmłodszym, kilka słów wyjaśnienia. Dziś już nie wszyscy wiedzą, co

to była stalówka, więcej - sędzę, że jest cała grupa młodych ludzi, którzy w życiu nie widzieli stalówki, o obsadce czyli piórze (moja babcia mówiła jeszcze „ruczka”) nie mówiąc. Otóż uczeń miał się między innymi nauczyć pisania, czyli trudnej sztuki stawiania w zeszytcie (czasem na tablicy) liter, następnie łączenia liter w wyrazy, wyrazów w zdania, zdań w... itd. Do pierwszych wprawk używany był ołówek, a później właśnie pióro z osadzoną w nim stalówką, i tu zaczynały się schody. Pierwsza obsadka, przeznaczona dla jeszcze niewprawnej ręki, miała być gruba, masywna, by z czasem zmieniać się w coraz cieńszą, lżejszą, prawie wyczynową. Podobnie było ze stalówką, pierwsza z krzyżykiem, poddawała się największemu naciskowi i nawet niechętnie gubiła nadmiar nabrane go na nią atramentu, który spływając na zeszyt robił przepiękne kleksy. W miarę doskonalenia trudnej sztuki pisania stalówki zmieniały się na bardziej wyszukane, jakieś rondówki, krzyżyk zastępowała taka niby łezka, a i sprężystość metalu była większa, pozwalała cieniować grubość laseczek i brzuszków w pisanych literach. Nigdy nie opanowałem do końca tej karkołomnej (dla mnie) sztuki, mimo że oprócz nauczycieli zawziął się na mnie mój ojciec.

Ten, uczeń jeszcze carskiej ruskiej szkoły, opanował był właśnie tam tę sztukę w sposób niemal perfekcyjny. Do dziś przechowuję stare listy i szpagaly, choćby po to, by czasem nacieszyć wzrok urokiem literek pisanych przez ojca właśnie zwykłym piórem czy, jak kto woli, obsadką. I to on postanowił nauczyć mnie pięknego pisma. Liniował czyste kartki papieru w pięć równoległych linii (było tego na arkuszu prośbowego papieru niemało, na początku każdej linii wpisywał przepiękny inicjał, inicjał sięgał w przypadku takiego "F" od najwyższej do najniższej linii, między środkowymi sadowił się brzuszek literki okrągłej, na innej była fajeczka, daszek, kropka, a cienie i pogrubienia i jeszcze inne niuanse), sadzał mnie przy stole i do roboty. Kulfony, które stawiałem, specjalnie go nie zniechęcały, w przeciwieństwie do mnie, a efekty, mimo uporczywych ćwiczeń, widać nie było. Oj, doloż ty moja, dolo! - tym bardziej, że nauczyciele też, dla wprawy, zadawali do domu do przepisywania całe strony liter.

Oczywiście, w trakcie nauki pisania najlepiej wychodziły kleksy, te spływały ze stalówki niczym woda w wodospadzie, a papier ochocho przyjmował nadmiar atramentu, plamy były nieusuwalne. Ale i kleksy bywały czasami pożądane, umiejętnie

wkomponowane w stronę upstrzoną czerwonymi uwagami nauczyciela, maskowały je doskonale. O różnych kolorach atramentu już wspominałem, a sam atrament był w szkole wszechobecny, w szkolnych ławkach osadzone były szklane kałamarze, które szkolny woźny co i rusz napełniał nowym płynem. Nie dlatego, że tyle pisaliśmy, na atrament były inne sposoby. Wystarczyło do kałamarza napchać bibuły, nie dość, że wciągnęła cały atrament, to jeszcze skutecznie zapchała kałamarz. Atrament można było zwyczajnie wylać na podłogę zaciągniętą pyłochłoniem (od którego jakoś nikt nie dostał raka), jej ciemny kolor maskował doskonale atramentowe plamy, z tym, że była to metoda bardzo prymitywna. Majstersztykiem był gest wypicia zawartości kałamarza, oczywiście w celach samobójczych, ale na to porywali się tylko prawdziwi desperaci, skazani na pozostanie w klasie na drugi rok.

Zostawmy jednak obsadki, stalówki i kałamarze, a wróćmy do naszego piórnika. Ten pierwszy - męski, był wydrążonym klokiem drewna zamykanym deseczką - wieczkiem, dopasowanym do wycięcia w górnej części korpusu piórnika. Całość co najwyżej zaciągniętą bezbarwnym lakierem, a chyba częściej pokostem, który twardniał na kamień i nie poddawał się ani wilgoci, ani ostrzu szczyrzyka, ani innym wymyślnym próbom wytrzymałościowym. Nowy piórnik zakupiony w sklepie lub pozyskany drogą okazjonalnego prezentu (np. od św. Mikołaja) był w stanie surowym jak świeżo otynkowana kamienica bez zacieków, graficiarskich malunków i innych uszkodzeń, i jako taki stawał się wspinałym tworzywem dla indywidualnej twórczości właściciela, który dostosowywał go do swoich potrzeb i zdobył według własnego gustu. Podstawowym narzędziem była stalówka i atrament oraz żyletka wyjęta z temperówki. Żyletka była narzędziem powszechnie dostępnym, nieprzydatnym do dalszego golenia po jednorazowym użyciu, za to w szkole miała mnóstwo zastosowań i przeznaczeń, więc służyła do skrobienia piórnika, czasami szkolnej ławy, skrobienia atramentowych kleksów w zeszytcie, temperowania ołówków a na nudnych lekcjach, osadzona ostrzem w blacie szkolnej ławki i naciśnięta pod odpowiednim kątem wpadała w drgania o bardzo wysokiej częstotliwości, wydając przewlekłe buczenie, które nie wiedzieć czemu denerwowało zazwyczaj spokojnych i opanowanych nauczycieli. Do czego byli wtedy zdolni - za chwilę. Innym zastosowaniem żyletki osadzonej w blacie ławki była skonstruowana na jej baze

wyrzutnia pocisków. Na przygiętej i naprężonej żyłce umieszczano małą papierową, bardzo zbity kuleczkę, zwalniało uchwyt i... Kulka leciała, trafiając czasami nawet celnie na nauczycielski stolik, a to kończyło się przeważnie kosmiczną awanturą. W dobrze zaopatrzonym męskim piórniku żyłek było zazwyczaj kilka.

Właśnie taką żyłką zeszkrobywało się atramentowe napisy i ornamenty umieszczone wcześniej na piórniku a nawet zabezpieczający lakier, ale zapokostowanej powierzchni nie ugryzła nawet najlepsza zagraniczna żyłka. Gdy powierzchnia była odczyszczona, rozpoczynało się nowe zdobienie w ruch szły kolorowe atramenty, gdy w wiecznym piórze (to był już etap wiecznych piór) „naciągnięty” był akurat super modny zielony, pisało się lub rysowało zielonym, z tym, że w piórze kolegi „przed” lub „za” był w tym czasie czarny albo niebieski, wystarczyło pożyczyc by nasz piórnik wyglądał znowu jak wytatuowany. Problem był z kolorem czerwonym, zastrzeżonym dla nauczycieli, ale sprytny uczeń radził sobie i z tym, wszak czerwony atrament sprzedawano w sklepach papierniczych, a w konsekwencji był do domu ucznia, dobrze ukryty przed wścibskimi rodzicami. Wśród piórnikowych graffiti czy tatuaży niejednokrotnie ukryte były bardzo pomocne pomoce naukowe czyli ściagi, no bo jak bez ściagi można było poradzić sobie z takim množniowym problemem - ile to jest 7x8 czy 6x 9. Pamiętam jednego nauczyciela sadystę, którego nie zadawała prawidłowa odpowiedź na te 6 x 9, on dobijał delikwenta pytaniem, ile to 9 x 6.

W piórniku ukrywało się jeszcze jedną, surowo zakazaną rzecz – cieniutką gumkę, mniej więcej trzydziestocentymetrowej długości. Już samo pozyskanie gumki było sztuką nie lada, trzeba ją bowiem było wyciągnąć ze zwykłej gumy majtkowej, a jeszcze lepiej z podwiązek. Spyta ktoś, czy gumy nie można było pozyskać drogą zakupu. Otóż nie, bo po pierwsze trzeba było mieć pieniądze, po drugie, gumy, jak i wszystkiego innego, w sklepach wiecznie brakowało, po trzecie babcia, która zawsze gumę miała, mieszkała bardzo daleko, a po czwarte... Operacja wyciągania, mimo że przeprowadzana w największej tajemnicy, pozostawiała ślady, majtki przestawały się trzymać i spadały, podwiązki też dziwnie wiotczały przestając pełnić powierzone im funkcje. I tak powoli zbliżamy się do sedna sprawy - z gumki robiło się wspaniałą mini procę. W czasie lekcji wystarczyło zwinąć kawałek zeszytowej kartki w ścisły rulonik,

złamać go w połowie, założyć jak strzałę w łuku na naciągniętą gumkę-cięciwę, przytrzymać zębami i po naciągnięciu gumki, zwolnić uchwyt. Przy dobrym opanowaniu techniki strzeleckiej wypuszczony bezszelestnie pocisk raził skutecznie, o czym świadczył nieludzki wrzask trafionego (najlepiej tego lizusa z pierwszej ławki). Czasami wrzeszczał strzelec, który zbyt mocno naciągnął gumę, a ta pekając zraniła go boleśnie w wargę. Nawet taki krótki kawałek zerwanej gumki można było skutecznie wykorzystać, strzelając nim bezpośrednio w ucho siedzącego przed nami kumpla.

Po tej kolejnej dygresji wróćmy znowu do naszych piórnikowych rozważań. Typ czy model omawianego wcześniej piórnika występował również w wersji poszerzonej lub, jak kto woli, rozbudowanej, a po ludzku – piętrowej. Najlepiej nazwijmy tę odmian luksusową, taki piórnik model „de lux”. Był to już solidny klocek drewna, zasuwany tak jak ten zwykły, miał jednak dwie komory usytuowane piętrowo a połączone śrubą. „Oczywistą oczywistością” była jego zwiększona pojemność, a największą atrakcją ruchoma górna część. Jakież ona stwarzała możliwości doskonałej zabawy (w czasie lekcji), np. zmieniał się w lotniskowiec lub czołg, który toczył zwycięską walkę z kolegą z ławki. Kończyło się to różnie, kłótnią o to, kto jest zwycięzcą, trzaskaniem piórnikiem o ławkę i zawsze interwencją wścibskiego nauczyciela, który zauważył i interweniował, najniższym wymiarem kary było sakramentalne a bardzo trudne pytanie – o czym mówiliśmy?

O taki piórnik toczyłem bardzo długą, a szczególnie zwycięską bitwę z moja mamą, wiem, że nigdy nie zaakceptowała mojego wyboru i nie zrozumiała miłości do tego (według niej) monstrum, ale kto do końca zrozumiał kobiety a szczególnie mamy? Mama lansowała (przez długi czas skutecznie) model typowo dziewczynski, czarną lub brązową skrzyneczkę z wieczkiem przylutowanym zawiaskami przybitymi malusieńkimi gwoździkami z wklejonymi do środka deseczkami wyznaczającymi przegródki na coś tam. Taki model, słodkomdły, schludny, był na wieczku dodatkowym zdobiony urokliwymi górkimi pejzażami, szalasami na hali, strzelistymi smrekami, wiejskimi kościółkami albo przepiękną szarotką czy innym górskim ostem, bodajże dziewięciosiem. Trafił się czasem wizerunek (profil) górala z bardzo wydatnym orlim nosem i fają w zębach, w góralskim kapeluszu z piórkem (powinno być pióro orle jak u Karola Maya) zawadiacko osadzonym na góralskim

łbie, albo wizerunek orła w locie nad tatrzańskimi szczytami. Te były jeszcze do zaakceptowania, ale pod pewnymi warunkami, czytaj przeróbkami. Taki piórnik był najczęściej suwenirem przywiezionym z zakopiańskich lub krynickich wypraw a nawet dalekich wojaży do mało wtedy znanego Karpacza czy też Szklarskiej Poręby a nawet zupełnie nieznanego Łądką Zdroju, o czym świadczył wycięty napis. Jakoś nie przebił się na piórnikach z wyrzezanym na nim napisem „pamiętka z Poronina” wizerunek samego Lenina, pewnie dlatego, że motyw czapki z piórkiem miał się nijak do góralskiego kapelusza zdobnego orlim piórem. Męczył się człek nad takim piórnikiem niejedną lekcję, nim biała rzeźbiona szarotka nabrała krwistego czerwonego koloru, góralowe wąsy stały się niebieskie, a litery w napisie mieniły się jak w kalejdoskopie. Jakiego koloru były inne elementy, już nie pamiętam, wiem za to, że nieoceniony był w tych sprawach kłopiowy ołówek dający rzadko występujący w atramentach fioletowy kolor, miał jednak jedną wadę: trzeba było go ślimić, a to nadawało ustom dosyć upiorny wygląd i zdradzało artystyczne, pozalekcyjne zainteresowania twórcy. Tak ozdobiony, a dodatkowo pozbawiony nieprzydatnych wewnętrznych przegródek, stawał się w miarę przyjaznym i użytecznym.

Jak już mówiłem, ten model piórnika nosiły przeważnie dziewczyny. Jak one to robiły, że zawsze było w nich czysto – nie wiem, wiem, że często w piórnikach miały pochowane małe szmaciane lalczki a czasem jeszcze całą lalczyną garderobę. W tym może nie byłoby nic złego, tylko że dziewczyny nawet w czasie najciekawszych lekcji potrafiły się bez reszty oddać swym laczanym pasjom, zapominając, że do szkoły przychodziło się głównie po naukę. Oczywiście, opiekowały te piórniki, najczęściej naklejkami z kalkomanii. Taka namoczona naklejka przyłożona do gładkiej powierzchni, po zdjęciu papierowej ochronnej warstewki pozostawiała kolorowy obrazek, który po wyschnięciu był trwałą ozdobą, ale co na nim było, nie pamiętam. Ten dziewczynski piórnikowy porządek zaowocował przykrym obowiązkiem przeczytania okropnej lektury, którą był – „Plastusiowy pamiętnik”. Otóż ów Plastuś, plastelinowy ludzik rozsiewał - używając słów Wańkowicza – dydaktyczny smrodek. Czystość, porządek, punktualność, asystowanie przy odrabianiu lekcji i coś tam jeszcze - cechy pozytywne, ale nie przesadzajmy.

Do czego jeszcze służyły szkolne piórniki? Niby już wszystko powiedzieliśmy, niby wszystko jest znane, klarowne, niby...

A łapa? Łapa była chyba najsurowszą szkolną karą, z której szkoła (czytaj nauczyciele) korzystali i to wcale często. Gdy brakowało gardła i sił do poskromienia rozszalałej bandy, gdy nie pomagało stawianie do kąta, wyrzucanie za drzwi a nawet klęczenie w kącie z podniesionymi rękami (starzy ludzie opowiadali, że dawniej stosowano jeszcze dodatkową torturę, klęczenie na grochu, czyli na woreczku wypełnionym grochem), gdy to wszystko nie pomagało, pozostawała łapa. Nauczyciel brał dłoń delikwenta i linijką wymierzał bolesne razy. Drewniana szkolna linijka była jednak słaba i wiotka, i tu pomocny i skuteczny okazywał się uczniowski piórnik. Szczególnie przydatne okazało się to drewniane piętrowe monstrum. Łapa wymierzona takim przyrządem musiała boleć i bolała. Niejednokrotnie na uczniowskiej giełdzie w czasie przerwy oglądaliśmy skutki, spuchnięte dłonie, sine pręgi, pochlipujących winowajców. Rozprawa z niesfornym drabem nie była miłą dla nikogo w klasie, często jednak nie było innego wyjścia. Klasy liczyły po czterdziestu i więcej uczniów, a i rozpiętość wiekowa sięgała niejednokrotnie i czterech lat, zresztą i czasy były zupełnie inne, przeciw karom cielesnym specjalnie nikt nie protestował. I tu nasz piórnik w dłoni drobnej nauczycielki zmieniał się w narzędzie kaźni. Nasz solidny męski wychodził z takiej operacji zwycięsko, ale taki dziewczynski, potrafił rozsypać się w drobny mak. Adrenalina! I kto wtedy był najbardziej poszkodowany?

Trzeba przyznać, że nie wszystkie egzekucje były udane. Zdarzało się, choć niezmiernie rzadko, że skazany miał wyjątkowo buntowniczą naturę i stawiał opór, opór pozornie bierny. Pozornie? Otóż delikwent, który posłusznie ułożył swą dłoń w dłoni nauczyciela i z rezygnacją oczekiwał na wymiar kary, w ostatniej chwili w odruchu samoobrony wycofywał (czytaj wyrzwał) swą dłoń, a spadający cios lądował na dłoni zdumionego egzekutora. Co wtedy się działo, lepiej nie mówić.

I pomyśleć, że na to wszystko był czas na lekcjach i jeszcze przy okazji czegoś człowieka w tej szkole nauczyli.

*Zbislaw Janikowski*

## Odlamki węglowickie

Piotr Nita

Metrykalna algebra już od progu płata nam figła. Wierszy w antologii „Odlamki” zamieszczono ponad 50, stanowią one twórczość 22 autorów i żaden z nich nie ma dowodu osobistego (a raczej nie miał w momencie tworzenia się wierszy).

Antologia to pokłosie pięciu edycji Wieczornic Poetyckich organizacyjnych rokrocznie na przełomie stycznia i grudnia przez dyrekcję Gimnazjum w Węglowicach w zaaranżowanym specjalnie w tym celu saloniku poetyckim (ostania odbyła się 9 stycznia 2009). Twórczość literacką uczniów i absolwentów Gimnazjum w Węglowicach po raz pierwszy ujęto w formie książkowej.

Laur gambitu przypadł Agacie Łebek, gdyż tytuł antologii inspirowany jest jej, otwierającym książkę wierszem. W finalnych wersach pada tam pytanie - czy „pojedyncze sukcesy \ minuty chwaly \ częstokwe radości \ czyżby te odlamki zwyciężyły \ nad smutkiem i bólem (...)”. Autorka stawia odpowiedź pozytywną, a antologia zyskuje klarowny klucz doboru wierszy.

Tematyka wierszy to barwny wachlarz pomysłów i perspektyw. Choć przeważają watki matrymonialne, spod znaku zakochania się bardziej lub mniej szczęśliwego, znalazły się tu też wiersze religijne („Apokalypto”), o bidulu vel sierocińcu („Zimny parapet”), o nadużywaniu alkoholu („Nurkowie”, „Żołnierze”) i wiele innych ciekawych przestrzeni. Ta polifonia cieszy niezmiernie, na równi niemal z dojrzałym operowaniem strukturą wiersza, widoczną u co poniektórych osób.

Choć mnogość autorów niczym w ulu i porzucane ich utwory po stronach, to w sposób wręcz mantryczny powtarzają się określone nazwiska - Magdalena Nawrocka, Magdalena Jakubowska, Piotr Paruzel. Wiodą oni prym, a i nie bez przyczyny, bo to zdaje się najdojrzałsi budowniczo wie tej antologii. Paruzel umiejętnie zbliża się do konkretnego, opisuje ciekawe sytuacje, celnie dobiera przy tym słowa; Nawrocka konstruuje potrzebne jej nastroje, w które wciąga hipnotycznym rytmem wersu (niezmiernie intrygujący utwór bez tytułu rozpoczynający się od „Zawsze mi Cię...”), Jakubowska poszukuje dopiero swojego języka, rozgląda się, podpatruje i to widać w jej utworach.

Z dystansu na antologię spoglądając, widać, że mało tu humoru, hucpy, zgrzywy, dziecinności tu mało. Coś młodziej gimnazjalna poważna niezmiernie, najwyraźniej dużo Ewy Lipskiej, a mało

Macierzyńskiego Piotra pochłania. Podejrzewać tylko mogę, że to skutki zbytniego przywiązania do stereotypu poety epatującego swoim cierpieniem. Z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć mogę, że pokutuje tu odbiór poezji jako ekranu bóla i wewnętrznych szamotanin autora. Takiej poezji również oddać należy słuszną część, wspominając choćby nurt konfesyjny, lecz nie samą zgrzyotą człowiek żyje. Warto więc podszepnąć, że radocha i żart to też materiał na poezję.

Cieszyć powinno, że szkoła w Węglowicach ukoronowała pięciolatkę wieczornic publikacją tomiku, koronując tym samym młodych twórców należnym im szacunkiem. To gest potrzebny tym młodym twórcom i ich wysiłkowi, ich do ena rozgryzionym długopisem, ich zapoconym klawiaturami. Radość ta jednak nie osiąga pełni, gdyż widać, że nie dopełniono nad antologią stosownego rytuału korekty - frycwo upomniało się o swoje. Antologia spełniła jednak funkcję niezmiernie ważną, bo inspirującą i ośmielającą młodych twórców. Efekty są widoczne, bo już niedługo wydany zostanie samodzielny tom poezji Piotra Paruzela, który zarażony w gimnazjum bakcylem literatury wciąż zmaga się z jej materia i pisze, pisze, pisze; już nie tylko poezję, ale i prozę.



## Ręce, które tworzą czyli jak czytać różnorodne aspekty języka dłoni

Zdjęcie przedstawia grupę złożoną z trzech mężczyzn i dwóch kobiet, prawdopodobnie artystów. Można to wywnioskować z faktu, że każda z postaci eksponuje dłonie, a to przecież one są symbolem pracy twórczej. W niektórych językach terminy związane ze sztuką zawierają w sobie skojarzenia semantyczne lub etymologiczne z ręką (por. polskie

„rękodzielo”). Dłonie każdego z obecnych ułożone są w inny sposób – oznaka indywidualizmu, co potwierdza przypuszczenie, że mamy do czynienia z ludźmi sztuki.

Mężczyzna w szarej marynarce trzyma dłonie otwarte, z rozpostartymi palcami, z czego należy wnioskować, iż nie ma złych zamiarów. Mało tego, jest on pełen wrodzonej skromności: skrzyżowanymi w ten sposób, otwartymi dłońmi kobiety przytrzymują spódnicę, aby uniknąć obnażenia. Mężczyzna dzierży jednak dłonie na wysokości żołądka, co zapewne stanowi aluzję do mądrości ludowej: „w cudze garnki nie zaglądamy”. Artysta ceni sobie zatem prywatność nawet na poziomie tak zwyczajnej czynności, jaką



Fot. Leszek Plińkowski



jest jedzenie. Ułożenie dłoni wskazuje zarazem na artystyczne wzloty (skrzydła motyla) i uduchowienie (biblijny gest błogosławieństwa, ale niejako na odwrót, co symbolizuje niezależność artysty).

Brodaty mężczyzna w czarnym stroju przekazuje swymi dłońmi, że jest silny (lewa dłoń zwarta w pięść), ale potrafi nad sobą panować (prawa przytrzymuje lewą). Zaciśnięte palce lewej ręki mogą ponadto coś ukrywać – nie do końca wiadomo, co. Wrażenie tajemniczości potęgują dwa palce ukryte w rękawie. W dodatku właśnie te palce służą do salutowania lub do podnoszenia przy zabieraniu głosu. Ukrywając je, mężczyzna daje do zrozumienia, że sztuka nie słucha ani powszechnie przyjętych autorytetów, ani zdania ogółu.

Człowiek stojący w centrum zdjęcia trzyma ręce w sposób podobny do poprzedniego. Różnica polega na tym, że to lewa ręka przytrzymuje prawą, palce lewicy nie są schowane do rękawa, zaś prawica pozostaje otwarta. Jaka jest symbolika tych trzech elementów? Większość ludzi pracuje prawą ręką, zatem mężczyzna, przytrzymując prawicę, sugeruje, że jest w stanie powstrzymać się od pracy ponad miarę; więcej dla niego znaczy jakość, niż ilość czy nawet tempo. Palce pozostawione na wierzchu dają do zrozumienia, że mężczyzna nie ma nic do ukrycia, tj. nie wstydi się swych przekonań. Otwarta prawa dłoń sama w sobie symbolizuje zyczliwość wobec ludzi, ale w zestawieniu z lewą daje na

zdjęciu dwie grupy linii zbliżonych do prostych, co oznaczałoby, że centralna postać kompozycji lubi porządek, ale bez pedanterii. Jest jeszcze jeden detal: w szczelinie pomiędzy palcem serdecznym a małym pobytkuje obrączka. Nasz artysta daje zatem do zrozumienia, że ważne jest dla niego życie rodzinne.

Kobieta w dwukolorowym żakiecie wykonuje gest mycia rąk. Gest taki stanowi symbol zakończenia procesu twórczego, a zapewne i satysfakcji z jego efektów. Zwraca uwagę mały palec prawej dłoni, oddzielony od pozostałych. Można to odczytywać jako wyraz dualizmu natury ludzkiej, w której jeden z aspektów jest silniejszy – i to trzykrotnie – od drugiego; niemniej bez tego drugiego nie można się obejść, gdyż człowiek stanowi całość. Ponadto, mimo, że lewa i prawa dłoń znajdują się pod zupełnie innym kątem, jednak linie palców zdają się na fotografii być niemal równoległe. Obrazuje to odwieczne zmagania ludzi sztuki z formą.

Dłonie kobiety w kwiecistym stroju są trzymane spokojnie, gestem gospodarskim. Ich właścicielka jest pewna co do tego, że nie stanowi dla niej tajemnicy dziedzina, w której się porusza, że posiadała w niej całkowite mistrzostwo. Wrażenie to potwierdza kciuk, „kontrolnie” naciskający rękę przed nadgarstkiem. Pierścienie na palcach nie tylko są symbolem władzy, ale w dodatku wprowadzają pewne zaburzenie w ciąg równoległych palców, a przecież zadaniem twórcy jest między innymi wprowadzać niepokój i pobudzać do myślenia. Zwraca uwagę, że nie widać paznokci, oprócz dwóch – kciuka i małego palca prawej dłoni. Za pomocą tych dwóch palców wykonuje się czasem gest telefonowania, mamy tu więc aluzję do kontaktu z odbiorcą.

Z prawej strony zdjęcia widać jeszcze jedną parę rąk, łatwą do przeoczenia, gdyż pozornie nieczyją. W tym przypadku ręce nie trafiły jedna na drugą. W harmonię fotografii został wprowadzony dysonans. Można dyskutować, czy do zetknięcia dłoni nie doszło dlatego, że samej postaci nie udało się zmieścić na zdjęciu, czy może ze względu na to, że silny napływ weny sprawił, iż zajęta innymi myślami, zapomniała o zetknięciu rąk. Istnieją wszakże inne trop. Te dłonie mogą trzymać drzewce sztandaru; osoba niewidoczna na zdjęciu pełni więc być może kluczową rolę. Mało tego – lewica jest zwinięta, jakby na gryfie, prawica zaś wykonuje gest szarpania strun. Czyżbyśmy mieli do czynienia z wajdelotą?

Prócz opisanej szóstki, fotografia przedstawia jeszcze inne osoby. Ułożenie dłoni każdej z nich nie się z sobą równie istotnie komunikaty. Fakt, że ręce tych ludzi pozostają niewidoczne, czyni je jeszcze bardziej wieloznacznymi.

*Zbigniew Marmelajtis*



# WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 12

## Le Vorecą Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podźdama

### KONCERTY

Wydarzeniem muzycznym ostatnich miesięcy stał się występ chóru męskiego „Kakostomos” z Macedonii pod batutą brata Malargatosa. Chór zaprezentował wybór pieśni wykonywanych w unikalnej technice tzw. antyspiewu, o której dotąd powszechnie uważano, że zaginęła, gdy Turcy zdobyli Konstantynopol. Już kilka tygodni wcześniej chór uzyskał darmową reklamę – 11 organizacji zaprotestowało przeciw organizacji występu, argumentując, że pieśni chóru „Kakostomos” zostały skomponowane w „skali diabelskiej”, znanej już w średniowieczu. Organizatorzy nie ugięli się jednak. Efektem była jedna z najbardziej wstrząsających demonstracji sztuki wokalne, jaką nasze miasto widziało. O wykonawstwie najlepiej świadczy fakt, że nasz wysłannik wrócił z koncertu całkiem siwy. Trwają próby nawiązania z nim kontaktu.

### STRAWA DLA OCZU I ŻOŁĄDKA

Nienazarta publiczność, szesześcująca przyoną kukurydzą, stanowi zmore niejednego kinomana. Anna Reywaszko planuje otworzyć w naszym mieście kino, w którym widzowie mogliby podczas seansu zjeść coś porządnego. Co prawda cena biletów w takim przybytku byłaby stosunkowo wysoka, ale i tak o wiele niższa, niż gdyby płacić osobno za kino i restaurację. Oferta gastronomiczna miałaby być zróżnicowana w zależności od filmu, co pozwoliłoby widzowi bardziej wczuć się w nastrój. I tak, podczas pokazu filmów z Bollywoodu serwowane będzie curry, a na seansach Kurosawy – sushi. Filmowi „Desperado” ma towarzyszyć kuchnia meksykańska, zaś „Misiowi” – puree z dzemem. Od razu nasuwają się pytania, czy na „Weselu” będzie wódka, na „Polach śmierci” – garść ryżu na czterech, no i co z „Wielkim żarciem”?

### WYSTĘP KLASYKA

Na scenie Fisharmonii Częstochowskiej wystąpił Cuckoo Soup McPherson, 89-letni czarny bluesman z delty Missisipi, który w ciągu burzliwej kariery miał okazję grywać we wszystkich najlepszych środowiskach Wschodniego Wybrzeża USA. W Częstochowie McPherson, któremu towarzyszyła orkiestra strażacka z Ważnych Młynów, wykonał wszystkie swoje klasyczne utwory na czele z „Baby I Can't Fix That Radiator”. Sędziwy bluesman, mimo upływu lat, w dalszym ciągu utrzymuje wysoką formę wokálną, a jego solówki gitarowe w stroju otwartym mogą zadławić niejednego konesera. Planowaliśmy wywiad z mistrzem po koncercie. Niestety, przeprowadzenie rozmowy okazało się niemożliwe, gdyż McPherson nie tylko gra, ale i pije jak za młodu, z tą różnicą, że dziś stać go na znacznie lepsze trunki niż zajązajer z pasty do butów.

### TAK ZŁE, ŻE AŻ DOBRE

W Częstochowie ewidentnie brakuje imprezy filmowej z prawdziwego zdarzenia. Mamy propozycję: urządzić w naszym mieście Przegląd Filmów Najgorszych „Często-Chala”. Filmy tak złe, że aż fascynujące, mają w Polscecale rzsze zwolenników, więc przy odpowiednio profesjonalnym przygotowaniu moglibyśmy się spodziewać sporych przychodów. Oprócz części historycznej, na którą można obejrzeć np. „Plan numer 9 z kosmosu” czy

„Kłatwę doliny węży”, przegląd będzie też miał część festiwalową. Pojawi się możliwość konfrontacji najgorszych filmów polskich minionego roku, zaś najgorszy z najgorszych otrzyma nagrodę Złotej Guguly.

### GALERIA RZEŻBY WYORANEJ

W Kłomnicach dokonano sensacyjnego odkrycia. Zeszłego lata rolnik Jerzy Ląbońc podczas prac polowych wyorał 16 rzeźb. Stały one jednak w szopie aż do minionego miesiąca, kiedy to siostrzeniec gospodarza, student historii sztuki na Akademii Jacka Długosza, obmył posągi szlauchem i ze zdumieniem stwierdził, że ma do czynienia ze sztuką starożytną Grecji. Większość rzeźb to postacie młodzieńców, tzw. kurosy, o charakterystycznej postawie „jakby kij połknął”, ale istnieją też pełne realizmu rzeźby płci obojaj. Jak stwierdził zastępowy do ekspertyzy dr hab. Mikołaj Aramowicz, autor m.in. książki „Ręce Wenusa z Milo. Naukowa rekonstrukcja”, pochodzą one z najlepszego okresu, V w. p.n.e., i najprawdopodobniej pochodzą z pracowni Glysthona z Kefalenii. Nie wiadomo co prawda, jakim cudem znalazły się na polu w Kłomnicach, jednak Galeria Rzeźby Wyoranej jest naszą szansą na wypromowanie regionu. Może nawet udałoby się wzmóc współpracę z artystami Grecji, którzy byli w Częstochowie i w ten sposób wyprzedzili Rzymian z ich Kaliszem.

### GRAJ ZE ZROZUMIENIEM

Spektakularną głębię zaliczyła Operetka Częstochowska na gościnnych występach w Legnicy. Podczas trzech przedstawień, w tym jednego dla szkół, zespół pod dyrykcją Piotra Ogoncourta wykonywał „Ptasznika z Tyrolu” w ukraińskiej wersji językowej. Niestety, żaden z członków zespołu nigdy wcześniej nie miał kontaktu z „mowojuz”. Przygotowanie do „Ptasznika” polegało na pamięciowym opanowaniu tekstu, bez podanego tłumaczenia, wykonawcy zakuwali więc libretto, nie wiedząc, o czym mówią. Jeśli dodać do tego kompletny brak przygotowania w dziedzinie fonetyki, akcentu wyrazowego oraz intonacji zdania, to trudno się dziwić, że uczniowie ze Społecznego Liceum Ogólnokształcącego im. Półtora Koźucha cały spektakl słuchali „empetrójek”. Pewnie z wykonaniem oryginalnym.

### SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Peleńgowej 15 proponuje kolejne zajęcia dla młodych artystów. 17 lutego odbędą się warsztaty „Improwizacja rapowa w stylu renesansowym”, które poprowadzi MC Cyrulariusz. Natomiast 28 lutego wykład Zbigniewa Holmesa: „Jak opisywać nerwicę natręctw w literaturze. Nie, zaraz, miało być ‘w długich i krótkich formach prozatorskich’. No więc, jak przedstawiać nerwicę natręctw w długich i krótkich formach prozatorskich. Tak jest, prozatorskich”.



